W NUMERZE: Raport A. Makowieckiego z zimowego przesilenia ■ 80-lecie urodzin Horacego Safrina ■ Portrety kieleckich pisarzy ■ Reportaż K. Turowskiego z północy Polski ■ Bułgaria trzynastu wieków — pióra A. Zawilskiego ■ Płk. J. Powała — o polityce militarnej RFN ■ Ostatni rok przed emeryturą — refleksje W. Krzemińskiego ■ Wiersze I. Sikiryckiego ■ Nowela filmowa T. Wieżana „Gołębiarze" ■ Recenzje z filmu, teatru, plastyki, nowych książek ■ Felietony ■ Listy

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź 2002

NR 2 (1101) ROK XXII 14 STYCZNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

Foto: W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

GNIEW BIAŁEJ PANI

Ludzie mówią, że srogie zimy bywały za czasów naszych prababek; obecnie podział na sezony zatarł się: ani słońca w lipcu, ani mrozu w lutym, chmurno i deszczowo cały rok. A wszystko przez te atomy. W jałowym, pozbawionym akcentów kalendarzu jedyny triumf święcą jeszcze przygłupasy ludowe: Barbara po lodzie, święta po wodzie! No, pewnie! Wierzą w to nawet, i to od wielu lat, racjonaliści — konstruktorzy, budowniczowie, meteorolodzy i drogowcy. A potem mamy raptem zimę stulecia, która, jak dobry bokser, przyczaiła się i kropnęła nagle w splot słoneczny.

Było to w porze perfidnej — część miasta szykowała się do tańca, część siedziała przed telewizorami, jedząc i pijąc. Temperatura zjechała, ale śnieg padał dyskretnie. Na oko — żadna tam klęska żywiołowa, czy choćby tylko jej zapowiedź, ot, piękna, zimowa pogoda, o jakiej marzą dzieci i narciarze. A przecież...

Inżynier z EC-4, wybierający się z dziewczyną na bal sylwestrowy, stwierdził na łamach łódzkiej popołudniówki, że już wtedy miał niezachwianą pewność katastrofy.

Myślącego czytelnika napawa to niepokojem. Inżynier nie uległ chyba irracjonalnym przeczuciom, trwożyło go natomiast realne rozeznanie sytuacji. Czemuś tam nie dowierzał: sprawności urządzeń, czujności załogi, znakomitym rozwiązaniom konstrukcyjnym... Największą troskę budziła w nim dostawa zmarzniętego opału, tymczasem...

W pierwszy dzień nowego roku, o godzinie dziesiątej rano, kiedy podchmielone niedobitki w garniturach i balowych kreacjach brnęły przez śnieg do domów, bezskutecznie polując na taksówki, autobusy i tramwaje, w czwartej elektrociepłowni pękły nagle rurociągi przeciwpożarowe, woda zalała tunel taśmociągu węglowego, kotły wygasły i ciepło przestało płynąć do mieszkań

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY URBANKIEWICZ

URODZINY Z PIÓREM W RĘKU

Oscar Wilde wyraził ustami jednego ze swoich bohaterów pogląd następujący: „Ludzkość traktuje siebie zbyt poważnie. Jest to jej grzech pierworodny. Inaczej potoczyłaby się historia, gdyby człowiek jaskiniowy umiał się śmiać". Prawdę zawartą w aforyzmie Horacy Safrin zdawał się przeczuwać, kiedy miał pięć lat i — jak sam twierdzi — w wieku tym został satyrykiem. Stało się to za sprawą pewnej jego cioci, która odwiedziła rodziców wyposażona we wszystkie atrybuty ówczesnej (rok 1903) wytworności: mocno ściągnięty gorset, wielopiętrowy kapelusz, turniura i cwikier na tasiemce. Mały Horacy miał czelność wtrącić się do rozmowy dorosłych, wytworna ciocia go skarciła, on zaś powodowany dziecięcą szczerością powiedział obecnym, co o cioci myśli: „Ciocia jest głupia". Dostał od matki klapsa i polecenie: „Natychmiast powiedz że żałujesz!" — „Żałuję że ciocia jest głupia..." — wykonał polecenie, i został satyrykiem.

Działo się to w mieście Stanisławowie, które było wówczas centrum przemysłu drzewnego, wrotami wiodącymi do porośniętych „drzewem fortepianowym" Karpat. Ojciec Horacego pełnił funkcję generalnego sekretarza Syndykatu Przemysłowców Drzewnych Austro-Węgier, ale był również intelektualistą, współpracownikiem wiedeńskiej „Neue Freie Presse". Gazeta ta cieszyła się wówczas taką powagą jak „Le Matin", czy „The Times". Te powiązania z c.k. Austrią mają znaczenie dla młodzieńczych losów późniejszego autora „Przy szabasowych świecach". Na razie zaś rozpoczął edukację w szkole początkowej i na tym niskim szczeblu hierarchii społecznej zetknął się z następnym problemem intelektualnym zawartym tym razem w balce o dwóch niegrzecznych koziołkach, które szły po kładce, każdy chciał przejść pierwszy i dlatego oba wpadły do wody. Już wtedy zaczął się Horacy zastanawiać czy koziołki nie wpadłyby do wody, gdyby były grzeczne. Ale do sprawy tej wrócił kilka dziesiątków lat później, kiedy to status satyryka przestał mu wystarczać, a zapragnął jeszcze być bajkopisarzem.

A świat tymczasem traktował siebie w dalszym ciągu poważnie, tak poważnie, że dla udowodnienia tej powagi odprzodkował armaty i zaczęła się pierwsza wojna światowa. Wojska rosyjskie posunęły się pod Kraków, rodzina zaś Safrinów wycofała się do Krzemieńca, gdzie działał zaprzyjaźniony z rodziną gubernator, i dzięki jego wstawiennictwu udało się wyjechać „Karpaten-Klänge" do Wiednia. Tam Horacy zrobił maturę z odznaczeniem zaczął naukę w szkole aktorskiej i wydał pierwszą książkę: „Karpaten-Klänge". Po niemiecku! Bowiem niemiecki był jego drugim językiem ojczystym. A pierwszy — to francuski którego używała na co dzień matka. Ale tym jego wiedeńskim sukcesom położyły kres austriackie władze wojskowe, które wcieliły młodego mieszkańca Stanisławowa do armii i wysłały na front włoski. Horacy Safrin nie przecenia wpływu, jaki jego udział w kampanii włoskiej wywarł na losy wojny. „Broniłem — powiada — Austrii z wiadomym powodzeniem" Tu na użytek młodego pokolenia Polaków, które ani pamięta, ani nie przeładowuje sobie głowy faktami historycznymi: w czasie tamtej wojny i wcześniej stawiano żartobliwe pytanie: „Po co Pan Bóg stworzył Austriaków?" — Odpowiedź brzmiała: „Aby Włosi mieli kogo bić" Jaka pożywka dla krytycznego umysłu stanowiły stosunki panujące w armii austriackiej dowiódł tego Jaroslav Haszek. Musiały też wywrzeć właściwy wpływ na umysł Horacego Safrina. Wspomina dziś pewnego feldfebla, który stał się mistrzem mnemotechniki, kiedy analfabetów-Huculów uczył najważniejszej dla austriackiego żołnierza wiadomości, jaka było prawidłowe wypowiedzenie tytułu cesarza: „Seine Apostolische Majestät, Kaiser Franz Josef der erste". Feldfebel wyszukiwał znanych Huculom słów ukraińskich mających brzmienie podobne jak te niemieckie w tytule. Więc słowo „Apostolisch" zastępował słowem „postoły" czyli „łapcie". „Majestät" zastępował słowem „masty" tj. „maście". „Franz Josef der erste" — to „Francuzy w aresti" (Francuzi w areszcie) W ten sposób cesarski tytuł w interpretacji huculskiej brzmiał: „Seine Postoły Masty Kaiser Francuzy w aresti". Przy okazji inspekcji

Dalszy ciąg na str. 10

JERZY CHABELSKI

W dniu 31 grudnia 1978 r. zmarł nagle towarzysz Jerzy CHABELSKI działacz partyjny i społeczny, od najmłodszych lat oddany sprawie socjalizmu.

Urodzony 22. 10. 1924 r. w Łodzi w rodzinie robotniczej. W latach okupacji pracuje na robotach przymusowych jako robotnik folwarczny, a następnie w fabryce obuwia. W 1945 r. wstępuje do Związku Walki Młodych i w jej szeregach aktywnie włącza się do uruchomienia zniszczonego przemysłu, będąc wzorem zaangażowania dla innych. W 1948 r. jest przewodniczącym Zarządu Dzielnicowego Związku Młodzieży Polskiej Łódź-Staromiejska, w 1951 r. zostaje przewodniczącym Zarządu Łódzkiego Związku Młodzieży Polskiej pełniąc tę funkcję przez kilka lat następnie tow. Jerzy Chabelski przechodzi do pracy w aparacie partyjnym, pełniąc w nim wiele odpowiedzialnych funkcji. W 1961 roku zostaje wybrany I sekretarzem KD PZPR, a w 1971 sekretarzem KŁ PZPR. Na wszystkich powierzonych Mu przez partię stanowiskach dał się poznać jako pełen zaangażowania i gorliwości działacz, jako człowiek nieustannej inicjatywy. Pracując ukończył wyższe studia na Uniwersytecie Łódzkim.

W latach 1974—78 Jerzy Chabelski pracuje w służbie zagranicznej pełniąc funkcję Konsula Generalnego PRL w Leningradzie. Ostatnio pracował na stanowisku dyrektora Departamentu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Śmierć Jerzego Chabelskiego jest dotkliwą stratą dla partii, której był oddanym i aktywnym działaczem. Jest też stratą dla wszystkich, którzy Go znali, cenili za Jego ofiarność, za wielkie umiłowanie spraw swego miasta, za Jego serdeczny stosunek do spraw ludzkich.

Towarzysz Jerzy Chabelski był odznaczony wysokimi odznaczeniami państwowymi i społecznymi, m. in.: Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką Janka Krasickiego, Honorową Odznaką m. Łodzi.

GRONO PRZYJACIÓŁ

„UKŁAD KRĄŻENIA"

Omówienie w felietonie serialu telewizyjnego nakłada na sprawozdawcę większy ciężar odpowiedzialności, niż to ma miejsce w przypadku oceny pojedynczego programu. Serial jest pasmem rozwijającym się przed naszymi oczyma stopniowo, jak odwijana sztuka materiału. I jak w przypadku sztuk materiału albo natrafiamy na różnego rodzaju błędy i usterki, to znów dla odmiany ukazuje nam się bezbłędny towar.

Trudno więc o siedmioodcinkowym filmie, dawkowanym w tygodniowych dozach — a wiadomo już że pisze o „Układzie krążenia" według scenariusza Aleksandra Minkowskiego i w reżyserii Andrzeja Titkowa — pisać w sposób jednoznaczny „na tak" lub „na nie". Odcinki były nierówne lepsze lub gorsze, a sam bohater, zarówno jako postać wymyślona, jak i w swym konkretnym przyobleczeniu w kształt psychofizyczny aktora, raz nas irytował to znów innym razem budził sympatyczniejsze odczucia.

Zanim „Układ krążenia" wszedł na nasze ekrany, telewizja przeprowadziła wywiady z autorami. Reklama jest dźwignią handlu, więc słusznie, że i panowie Minkowski i Titkow chwalili swe wspólne dziecko, nim danym nam było zetknąć się z nim bezpośrednio. Mam jednak nieodparte wrażenie, że obaj obiecywali zbyt wiele. Nie pamiętam dokładnych sformułowań, ale mówiło się o tym, że serial pomyślany jest jako szeroka panorama tak ważnej dziedziny w naszym życiu, jaka jest służba zdrowia. Losy doktora Bognara miały stać się nośnikiem fabularnym dla kompleksu spraw, z którymi każdy z nas się tak czy inaczej styka, wynosząc własne, nierzadko jednostronne doświadczenia.

Nie śmiałbym stwierdzić, że autorom udało się wzbogacić naszą wiedzę o funkcjonowaniu służby zdrowia, o jej słabościach, błędach i trudnościach. Nie wiem, czy w dziesięciu i pół godzinach projekcji osiągnięcie takiego celu byłoby w ogóle możliwe. Gdybyż to jeszcze skupić się na wybranym wycinku zagadnienia, ale serial ma ambicje załatwiać „po drodze" wszystko, dotyka najróżnorodniejszych spraw natury moralno-etycznej, zawodowej, obyczajowej, technicznej. W związku z tym żadna właściwie kwestia nie zostaje pogłębiona, a owa sakramentalna butelka francuskiego koniaku wędrująca z rąk pacjenta do lekarza to tylko pozorna odwaga autorów w nie unikaniu ostrych kantów.

Tak ale to jedna strona zagadnienia. Pozostaje zasadniczy wątek fabularny serialu, niesłuszne oskarżenie doktora Bognara o eutanazję i historia jego żmudnego powrotu do zawodu. Nie wnikam w to, że komisja zawieszająca Bognara w prawach wykonywania praktyki lekarskiej wypadła na ekranie nieco żenująco podejmując tak poważną decyzję w oparciu o tak enigmatyczne dowody. Autorom chodziło o postawienie swego bohatera poza środowiskiem lekarskim i dokonali tego z pewnym pośpiechem.

Od tego momentu zaczyna się opowieść o wysiłkach podejmowanych przez samego Bognara w celu oczyszczenia się z zarzutu. Przypomina się tu trochę schemat nadawanego przez naszą telewizję przed iluś tam laty amerykańskiego serialu „Ścigany". Tam bohater niesłusznie podejrzany o morderstwo sam prowadzi dochodzenie, uciekając jednocześnie przed policją, gdyż w przypadku przedwczesnego schwytania grozi mu krzesło elektryczne. Tamten schemat niósł w sobie ładunek sensacyjności. W przypadku Bognara podobny klucz raczej zawodzi, nie prowadzi do dramatycznych napięć, a czasem wręcz nuży jednostajnością. Wydaje mi się, że pogłębienie losów doktora Bognara i nadanie im większego ładunku dramatycznego byłoby możliwe, gdyby postać głównego bohatera była scharakteryzowana wielostronniej, głębiej, a motywy jego działania nie były stale tak jednoznaczne.

Czasem, gdy zawodzi motywacja zawarta w scenariuszu, udaje się aktorowi stworzyć sobie na tyle płodny podtekst, by móc wzbogacić przedstawianą przez siebie postać o dodatkowe rysy. Nie udało się to moim zdaniem Edwardowi Lubaszence. Ten zdolny aktor połowicznie tylko wpisał się w naszą wyobraźnię jako doktor Bognar i nie sądzę, by długo gościł w naszej pamięci. Nie wiem, czy Lubaszenko miał magnetyczny wpływ na dziewczyny, żadnej nie przepytywałem na tę okoliczność. Mnie wydawał się jakiś skrępowany, nie angażujący się autentycznie w sprawy erotyczne, niedorysowany w momentach prób życiowych, jakby trochę niesério.

No, tak! Z pewnością nie brakowało w serialu także scen udanych. Do mnie na przykład szczególnie przemówił ostatni odcinek serialu, będący zakończeniem „odysei" doktora Bognara i jego powrotu do Itaki, czyli do zawodu lekarskiego. (Jeden z moich czytelników miał mi za złe, że Lorenzaccia porównałem do Kordiana. Mnie zaś chodziło wyłącznie o podobieństwo zakradania się obu bohaterów do łożnic tyranów. Niechże i teraz nie będę pomówiony o to, że nie rozróżniam Bognara i Odysa!). Coś bardzo ludzkiego było w tym, że Bognar nie potrafi cieszyć się zwycięstwem swojej sprawy. Autorom udało się uniknąć płaskiego happy-endu, za co im jestem wdzięczny.

Z pewnością nie jedyna to zaleta „Układu krążenia".

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

OSTATNI ROK

Każdy z nas przeżył albo przeżyje kilka takich znaczących, otwierających nowy etap momentów, kiedy życzliwi ludzie składali mu lub będą składać najlepsze życzenia „na nową drogę życia". Nie idziemy jedną, niezmienną drogą, przeskakujemy z jednego odcinka na inny, z bocznej ścieżki na ruchliwy trakt, z traktu na wielką autostradę. Aż przychodzi przeskok, bardziej radykalny od wszystkich innych, kiedy nikomu jakoś nie chcą przejść przez usta owe najlepszych intencji pełne słowa o nowej drodze: odchodzimy na emeryturę.

„Kultura" podjęła kapitalny temat i nadała mu kształt konkursu, a raczej sondy psycho-socjologicznej: „Pierwszy rok na emeryturze". Zanim przeczytamy pokłosie konkursu i otworzą się przed nami losy i serca, przemyślenia i nastroje ludzi mających już za sobą ten jakże istotny próg — spróbujmy poświęcić nieco uwagi okresowi kandydackiemu stanu emerytalnego, przyjrzyjmy się sytuacji przeciętnego, albo raczej trochę bardziej niż przeciętny ambitnego, pilnego, zdolnego pracownika na rok przed emeryturą.

Wszyscy, ci, którzy teraz właśnie dobijają do spełnienia ostatniego warunku przepisów emerytalnych, to znaczy do odpowiedniej granicy wieku, to ludzie bardzo zmęczeni. To na ich plecach pisały się krwawe dzieje ostatniego półwiecza, to oni dźwigali największe ciężary wojny, obozów, odbudowy, wyżu demograficznego, błędów, zaniedbań i poprawek. Są zmęczeni, ale wciąż pełni przekonania o tym, że liczy się każda para rąk — ich rąk także, każda sprawna myśl — a ich myśl jest sprawna. Liczy się — a więc ma społeczną wartość, jest cenna. Są przekonani, że stanowią wartość, której nikt z lekkim sercem nie odgarnie poza boisko. Wiedzą oczywiście, że muszą odejść, ale wydaje im się, pragnęliby, marzą o tym — żeby ci co zostają rozstawali się z nimi z żalem, żeby ktoś naprawdę z przekonaniem, a nie w wykonaniu zaleceń socjologa zakładowego, powiedział: będzie nam was brakowało, towarzyszu, ale liczymy na to, że nie zerwiecie z nami kontaktu, że pomożecie...

Że pomożecie... Na ogół atmosfera wokół dochodzących do emerytalnej mety jest taka: liczymy na to, że nie będziecie się wtrącać w bieżące sprawy; że uznacie swą sklerotyczną nieprzydatność i podziękujecie nam grzecznie za wycieczkę na grzyby zakładowym autokarem...

Bardzo wiele czyta się o nieżyczliwym stosunku starszych pracowników do młodzieży. Oczywiście, to się zdarza. Ale w wielkim chórze głosów, składających się na opinię publiczną, przeważają przecież liczebnością i dziarską donosłością głosy młode, co nie znaczy, że samo zjawisko wrednych staruchów ma charakter dominujący. Wydaje mi się, że jest odwrotnie, że dynamiczne — dzięki Bogu! — młodsze roczniki z niemaskowaną niecierpliwością czekają na miejsca po starych, że gotowi by podkręcić kalendarz, obniżyć granicę wieku, pozbyć się wapniaków i pozostać nareszcie między sobą.

Krystyna Jagiełło relacjonując rok temu w „Literaturze" rozmowy z piszącymi robotnikami, przytacza słowa jednego z nich, starszego wiekiem: „Jak oglądam film w telewizji, to widzę zawsze ten sam schemat. Łajdak będzie miał po pięćdziesiątce, a pozytywny bohater około trzydziestki...". Może to ten właśnie schemat, podchwycony trafnie przez robotnika, prowokuje wokół starszych, zmęczonych pracowników gesty zniecierpliwienia i ledwie-że — tolerancji? Tolerancji tym trudniejszej do zniesienia, że — nikt tego nie ukrywa — praktykowanej tylko dzięki ustawie zabraniającej zwolnić faceta w ostatnim dwuleciu jego aktywnego życia.

A więc zwolnić pracownika nie można i staje się on świętą krową. Pracuje w wydziale, w którym grono znacznie od niego młodszych ludzi akcentuje swą odrębność na każdym kroku. Ich tematy rozmów i styl rozmów, ba! — ich język jest inny, przeciwstawiany demonstracyjnie przy każdej okazji jego tematom, zainteresowaniom, upodobaniom. Wcale nie mówię o czyjejkolwiek złośliwości i złej woli. To są dolegliwości wieku przejściowego, takie społeczne klimaterium, jeszcze nie wolne od złudzeń.

Złudzenia trzeba mieć zawsze. W klimakterycznym okresie przejściowym, na rok przed emeryturą, kandydat łudzi się: pójdę sobie na emeryturę, a do niej dorobię czy to półetatem, czy pracami zleconymi. Złudzenie to bardzo powszechne i bardzo źle sprawdzające się w życiu. Kto odchodzi — odchodzi, partir — c'est un peu mourir. Ci młodsi w wydziale na długo przed odejściem emeryta stanowią już układ, w którym jego obecność jest nie tylko zbędna, ale niepożądana. Już wiedzą, kto z nich najprawdopodobniej obejmie funkcję starszyny, kto i na jakie miejsce się przesunie. Role są podzielone bez reszty. Jeżeli za opuszczonym biurkiem siądzie ktoś nieprzewidywany, ktoś z zewnątrz — a to się zdarza bodaj że w większości wypadków — to całe wydziałowe grono poczuje się urażone i sporo czasu minie, zanim przetasują swe upatrzone role i pogodzą się z nowymi. Jeżeli ten nowy zwierzchnik będzie w dodatku młodszy niż ci młodzi, których zwolnił ze swej współpracy emeryt — o, to zaczną się z miejsca sarkania na młodzież. W sarkaniach tych wezmą aktywny albo i inspirujący udział także ci pracownicy, którzy do wczoraj skarżyli się na zbyt małą życzliwość starych w stosunku do siebie. Ludzkie, arcyludzkie...

Gdy ożywiony złudzeniem swej dalszej potrzebności emeryt zaglądnie na stare śmieci z jakąś robótką — artykułem, wnioskiem, obliczeniem, detalem, z jakąś swoją mądrością, gotowością do pracy — powiedzą mu grzecznie dzień dobry i wszyscy jednakowo będą się męczyć kłopotliwą sytuacją, trudnością odrzucenia, odepchnięcia oferty; ta oferta nie pasuje już do tego, czym chcą się teraz popisywać pracownicy. Nowy kierownik chce mieć własne niepodzielne pomysły, zasługi i sukcesy. Nie wierzy, że mógłby coś pożytecznego i nie znanego sobie otrzymać od kogoś, kto odszedł bez sukcesu. A na emeryturę nigdy nie odchodzi się ze szczytu, zawsze jest ten paskudny okres odsunięcia, zgaszenia i zgorzknienia.

Drugie złudzenie: będę tu często przychodził, tu mnie wszyscy znają, kilkadziesiąt lat przecież byliśmy razem. Mam znajomych w branży, wśród kooperantów — znają moje możliwości, cenią moje kwalifikacje, wiedzą co i jak robiłem; będę wchodził w skład różnych komisji rzeczoznawców, doradców, specjalistów — przecież byłoby obiektywną szkodą nie korzystać z tego, czego się człowiek przez pół wieku musiał uczyć. Nowinki techniczne zostawiamy młodym, eksperymenty też. Ale rutyna, doświadczenie — na pewno zachowa swą cenę...

Otóż nie. Ci najbliżsi z własnego zakładu i ci liczni znajomi z całego zawodowego środowiska także już odeszli i środowisko przestało istnieć. Kto nas zna? Na parę lat przed odejściem jest takich już tylko kilku, a potem nikogo. Biurko, przy którym siedziałem dwadzieścia lat, maszyna, którą oliwiłem i hołubiłem jak psiaka, mury i okna, i kącik do wypicia herbaty — wszystko trwa i jest takie same, i nic w nich nie ma znajomego. Tak właśnie będzie, chociaż na rok przed odejściem człowiek sobie wyobraża Bóg wie co.

Jeszcze słuchają, gdy zabieram głos na konferencji. Chcę zadać kłam powszechnemu przekonaniu, że ludzie starsi są gotowi do wszelkich kompromisów, że przestają walczyć o coś, że łatwo rezygnują i nie chcą się narażać. To jest prawda, gdy chodzi o osobiste sprawy starzejącego się człowieka. Nawet jego fizyczne warunki zmuszają go do ciągłych ustępstw, nie mówiąc o łatwo wyczuwalnej atmosferze otaczającej go pobłażliwej niechęci. Ale publicznie to właśnie ci starsi nie mają nic do stracenia, a bardzo chcą być przedmiotem, jeśli nie ośrodkiem, zainteresowania. Więc na konferencji to właśnie prawie — emeryt będzie atakował dyrekcję o zaniedbania, wytykał marnotrawstwo i niesprawiedliwość. Tyle, że za stołem prezydialnym siedzi już inne pokolenie i czeka na głosy swych rówieśników, puszczając tyrady starszych mimo uszu. Podekscytowany własną odwagą mówca siada i stwierdza, że gadał do ściany.

Na szczycie wieży Babel rozdwoiły się języki i ludziska nie mogli się porozumieć. My mówimy nie tylko językami, w których te same słowa mają inne znaczenie. One co innego znaczą także w zależności o tego, kto mówi. Rozziew jest ogromny. Obserwuję w telewizji „Spotkania z ballada". Wszystko, cokolwiek zrobia na estradzie młodzi aktorzy, wszystkie teksty, dowcipy i pomysły młodych autorów, przyjmowane są znakomicie przez młodych słuchaczy. Wyobraźcie sobie, że przed tym samym audytorium występują starsi aktorzy wykonując teksty i pomysły starszych autorów. Choćby robili nie wiem co, choćby ich program był ewidentnie lepszy, ciekawszy, mądrzejszy i bardziej dowcipny — młodzi słuchacze będą siedzieć pełni rezerwy, z kołaczącym w mózgach zdaniem: „Ale dowcip!" „Ale się wygłupia!". Bo to nie ich rówieśnik, a to znaczy: człowiek nie z ich plemienia...

Coś podobnego zachodzi w każdym środowisku, przy każdym styku tych dwóch plemion: młodszych i starszych. Starsi ludzie widzą, że oni już nie mogą mieć racji. Po prostu, z góry, a priori: nie mogą. I nie ma się co łudzić: przekroczenie progu emerytalnego będzie przypieczętowaniem tej sytuacji, jej formalnym wciągnięciem do akt.

Żyjemy w społeczeństwie humanitarnym, na pewno nie zginiemy z głodu i opuszczenia. Będą nam dzieci dawały przedstawienia na gwiazdkę, będziemy zwiedzać z przewodnikiem Wieliczkę i Żelazową Wolę. Nie lekceważmy tych perspektyw: nauczmy się w porę upatrywać w nich pozytywy czekającego nas etapu: one są pozytywami, tylko trzeba je wewnętrznie zaakceptować.

Trzeba zgody wewnętrznej na to, że emerytura będzie właśnie „nową drogą życia", chociaż nikt nam nie śmie tego powiedzieć. Myśle, że czym mniej złudzeń przed przekroczeniem Rubikonu, tym łatwiej będzie nam wypracować w sobie taką zgodę.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

SPRAWA „MAZOVII"

W nawiązaniu do artykułu opublikowanego w „Odgłosach" nr 47 z dnia 19 listopada 1978 roku, pod tytułem „Sprawa Mazovii", pragnę zaznaczyć, że wiele zawartych tam sformułowań jest zupełnie innych aniżeli wynikały z mojej wypowiedzi. Ponadto wkomponowane są tam pojedyncze zdania w zupełnie inne podteksty.

W tej sytuacji artykuł ten nie spełnił zamierzonego celu a wręcz odwrotnie — spowodował wiele niesmaku i zbędnych, nieprzyjemnych komentarzy pod adresem zakładu i moim osobiście.

Nie obawiamy się krytyki, jeżeli ma ona pełne pokrycie w rzeczywistości. Natomiast w opublikowanym artykule wiele przedstawionych problemów odbiega od faktycznej sytuacji. Błędem ze strony autora jest obwinianie dyrekcji zakładu i Zjednoczenia Przedsiębiorstw Wełniarskich „Północ" o niewprowadzenie zadania odtworzenia zakładu do planu inwestycyjnego. Decyzje, dotyczące tak dużego przedsięwzięcia podejmują władze centralne. Zakład i zjednoczenie mogą najwyżej czynić starania o przydział środków, a takowe — co wynika również z treści publikacji — były i są podejmowane. Dziennikarz, biorący na warsztat tematykę ekonomiczną, powinien o tym wiedzieć.

Kolejnym przewinieniem red. Nowaka jest brak rozeznania środowiska przemysłowego, o którym pisze. Dowodem tego może być niewłaściwe przedstawienie problemu miejskiej oczyszczalni ścieków. Wszystkie obiekty „Mazovii", które funkcjonują obecnie i będą pracować w przyszłości, zostały podłączone do systemu oczyszczania przed trzema laty. Zakład „B" — co wiadomo również autorowi — jest przeznaczony do likwidacji. Cała „paradoksalna sytuacja" polegałaby właśnie na włączeniu go do oczyszczalni. Pociągnęłoby to za sobą nieuzasadnione społeczne koszty.

Następny przykład dowodzący nierzetelności w zbieraniu informacji. Redaktor Z. Nowak wkłada w usta dyrektora ZPW „Północ" stwierdzenie, jakoby „Mazovia" zamierzała kooperować z ZWCh „Chemitex-Wistom".

I znów paradoks, a właściwie rażący błąd. „Wistom" jest znanym w kraju przedsiębiorstwem, podległym resortowi chemii i z wykończaniem tkanin wełnianych nie ma nic wspólnego.

Mogę podać jeszcze wiele innych dowodów, świadczących o niekompetencji autora i świadomym naginaniu faktów do własnych potrzeb.

Że artykuł jest tendencyjny przekonuje również ilustrujące go zdjęcie. Przedstawia ono nie „walącą się ruderę ze spróchniałej do cna cegły" — która w sugestii autora ma być budynkiem produkcyjnym — lecz sprawnie pracującą kotłownię po remoncie. Co zabawniejsze, w kadr wszedł fotoreporterowi fragment nowoczesnego budynku wykończalni (także po remoncie).

Myślę, że przytoczyłem wystarczająca ilość argumentów, aby przekonać zainteresowanych, że sprawa „Mazovii" wygląda zupełnie inaczej, niż to próbował zasugerować red. Zbigniew S. Nowak.

W związku z powyższym odżegnuję się od treści artykułu.

Sądzę, że w przyszłości nie będzie rzutowało to na dobrą współpracę między nami, pod warunkiem, że przedstawione fakty będą zgodne z realiami.

mgr A. GRUSZCZYŃSKI
Dyrektor

OD AUTORA:

1. Rzetelność informacji zależy w równym stopniu od zbierającego je, jak i od udzielającego. Podczas rozmów z dyr. Gruszczyńskim zostały zarejestrowane na taśmie magnetofonowej jego wypowiedzi zarówno „oficjalne", jak i poza protokołem", a w publikacji wykorzystałem jedne i drugie.

2. W artykule nie znalazło się ani jedno moje zdanie obwiniające wprost dyrekcję „Mazovii" i ZPW „Północ" o niewprowadzenie zadania odtworzenia zakładu do planu inwestycyjnego; przeciwnie — kilkakrotnie podkreślone zostały usilne, acz bezskuteczne starania dyrekcji w tym względzie.

3. Problem miejskiej oczyszczalni ścieków został przedstawiony w artykule zgodnie z informacjami uzyskanymi w KM PZPR w Tomaszowie Maz. Treść rozmowy została zarejestrowana i jest do sprawdzenia w każdej chwili.

4. Problem ewentualnej kooperacji z „Wistomem" został „rzucony" przez dyr. Z. Zaorskiego jako tzw. luźny przykład, co oczywiście nie ma znaczenia wiążącego i absolutnie nie wyklucza innych, bardziej właściwych rozwiązań.

5. Odnośnie zdjęcia: Jeżeli nowo wyremontowana kotłownia wyszła na fotografii jak „walaca sie rudera ze spróchniałej do cna cegły" to nie jest to wynik ani tendencyjności w ujęciu tematu w artykule, ani złej woli fotoreportera; to po prostu tzw. rzeczywistość, która tak właśnie się przedstawia, obiektywnie i rzetelnie.

6. Co do dalszej ewentualnej współpracy w temacie, pisze się nań chętnie, pod warunkiem że obie strony jednako nie będą dzieliły ani wypowiedzi, ani udzielanych informacji na „oficjalne" i „nieoficjalne", co jedynie może gwarantować ich rzetelność.

ZBIGNIEW S. NOWAK

Koledze

JERZEMU RZYMOWSKIEMU

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

OJCA

składa redakcja „Odgłosów"

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI

GNIEW BIAŁEJ PANI

Dalszy ciąg ze str. 1

na Wschodnim Widzewie, Zarzewie i Dąbrowie.

Ludzi podgrzewał jeszcze wtedy alkohol. Łódź spała. Wielu dozorców nie wyszło do pracy. Telewizja nie obwieściła jeszcze stanu klęski, złowieszcze doniesienia z innych rejonów kraju, a także z całej, z lekka zaskoczonej i ogłupiałej Europy, nie wdarły się jeszcze w świadomość świętujących. Śnieg sypał za to spokojnie i równomiernie, rosły zaspy, pod którymi utknęło setki samochodów, boczne uliczki we wszystkich dzielnicach Łodzi stały się nieprzejezdne i nieprzechodne, biały pył wtargnął na klatki schodowe, a zimno do mieszkań.

Kiedy w wieczornym dzienniku telewizyjnym nazwano sytuację po imieniu, zwalniając w dniu drugiego stycznia od pracy wiele zakładów i przedłużając ferie szkolne, dzieciaki zaczęły skakać z radości, młodzież odtańczyła sambę, a niejeden dorosły trzepnął kielicha.

Szkoda, że nie padło hasło.

— Uwaga! Słuchajcie o godzinie tej i tej lokalnych doniesień radiowych!...

Gdyby łódzka rozgłośnia miała nieco większą moc i zasięg, gdyby nie emitowała swojego programu na falach ultrakrótkich, których nie posiada przecież większość radioodbiorników, nikt co do swoich obowiązków nie miałby wątpliwości.

Ano, mądry Polak po szkodzie.

2 stycznia, w pierwszy roboczy dzień nowego roku, życie w mieście było dalekie od normy. Pojedyńcze zatłoczone do granic pęknięcia wagony tramwajowe z trudem przedzierały się przez zaśnieżone tory i zwrotnice. Co drugi autobus mijał skłębiony na przystankach tłum, nie zatrzymując się z powodu mniejszych lub większych uszkodzeń podwozia bądź silnika. Unieruchomione jednostki, tarasując jezdnie, czekały na pogotowie techniczne. Brać taksówkarska, w każdym razie znaczny jej procent, przezornie pozostała w domach. Prywatni użytkownicy samochodów dokonywali cudów, aby rozmrozić fiaty i syrenki — ci, którym się to udało, grzęźli nieraz kilkaset metrów od garażu, powiększając bałagan na ulicach.

Wbrew wcześniejszym zapewnieniom handlowców, świeże mleko i pieczywo nie dotarło nawet do sklepów centralnych, dla przykładu — w karolewskiej **„Gosi"** nie było w godzinach przedpołudniowych żadnego chleba, zaś mleko trafić miało do mieszkań około godziny siedemnastej. Skądinąd w śródmiejskich Delikatesach można było kupić bez czekania polędwicę sopocką i kiełbasę. Na ulicach pojawiły się pierwsze ochotnicze brygady odśnieżania — Żeromskiego i Mickiewicza odśnieżali ofiarnie od wczesnych godzin porannych pracownicy **Zakładów im. Barlickiego**, z kolei przy Łąkowej oraz na skrzyżowaniu alei Włókniarzy z Kopernika chwycili za łopaty przedstawiciele **Wytwórni Filmów Fabularnych:** filmowcy, aktorzy, personel techniczny. W wielu punktach miasta działały brygady wojskowe. Milicjanci pilotowali wozy Pogotowia Ratunkowego do miejsc odciętych przez śnieżycę. Jedyna pediatryczna karetka na Retkini obsługiwała także Konstantynów, niektóre dzieci długo czekały na pomoc, chociaż do akcji włączyło się społecznie wielu lekarzy.

Zdarzały się także przypadki bezmyślności i głupoty. Grupa wezwanych do odśnieżania urzędników oświadczyła, iż nie wcześniej przystąpi do pracy, nim otrzyma potwierdzenie na piśmie. Niektórzy stawili się jak na bal — w eleganckich półbutach, zamszowych rękawiczkach, z gołymi głowami.

W tym samym czasie Zarzew i Widzew przeżywały dramatyczne chwile. Bez wody i ciepła, bez światła: we wszystkich sklepach brakło świec, te w mieszkaniach dawno się już wypaliły. Rodziny z małymi dziećmi, posiadające krewnych lub przyjaciół w innych dzielnicach, opuszczały masowo wyziębione bloki. Ci, co nie mieli rodzin w ciepłych dzielnicach, spali w paltach i kożuchach. Pewien muzyk, ojciec paromiesięcznego niemowlęcia, wyruszył z domu na wschodnim Widzewie pieszo do Śródmieścia, ciągnąc za sobą puste sanki. Skostniały z zimna wrócił na Widzew po sześciu godzinach — do sanek przywiązana była kanonka i worek z węglem. Kanonkę ustawił w rogu pokoju, rurę wypuścił na balkon przez wywietrznik uszczelniony jakimiś szmatami. W ten sposób temperatura w mieszkaniu podskoczyła o parę stopni i było na czym zagotować mleko dla dziecka.

W mniej poszkodowanych rejonach ludzie zaczęli myśleć. Rzeczywiście wygaszali wszelkie niepotrzebne źródła światła, zamykali drzwi na klatkach schodowych, uszczelniali okna w piwnicach, niektórzy pomagali nawet dozorcom odgarniać śnieg. Oczywiście — zdarzali się i tacy, co nie raczyli wyłączyć ani jednej żarówki: płonęły wszystkie pokoje, płonęła choinka, radio wyło popołu z telewizorem. Dotyczy to również niektórych nieczynnych a suto oświetlonych sklepów (Juventus, Hermes, Domus), niektórych ulic (Aleksandrowska) i rozświeconych nawet w nocy parków (Sienkiewicza). W wielu domach, w korytarzach i na klatkach schodowych płonęły bezużytecznie siedemdziesięciopięcio- i stuwatowe żarówki. Kilku nadgorliwych dyrektorów samowolnie uruchomiło zakłady, powodując niespodziewany brak prądu w miejscach, gdzie rzeczywiście był on niezbędny. Z upoważnienia prezydenta milicjanci zaczęli karać kierowników, dyrektorów, dozorców i osoby prywatne mandatami za szafowanie energią elektryczną i do godziny 10,00 3 stycznia 1979 r. liczba ukaranych wynosiła już 120.

Jednocześnie 3 stycznia 1979 r. społeczeństwo okrzepło w walce z żywiołem. Zaczęły się działania solidarne, ofiarne, nieraz nawet wzruszające. Ludzie przestali warczeć na siebie w tramwajach i sklepach, dawali pierwszeństwo starszym, pomagali nieznajomym. Przeciwko zimie, z którą dotąd szamotały się tylko jednostki, wystąpił nagle naród. I to jest chyba najbardziej pozytywny, najbardziej optymistyczny akcent całej tej ponurej sprawy — prwadziwa lekcja obywatelskiego wychowania. Może i dobrze, że zima postawiła nas wszystkich na baczność, każąc zastanowić się trochę nad naszym wspólnym losem. Skonsolidowani, okazaliśmy się silni.

Od wczesnego ranka do dwunastej w południe odwiedziłem kilkanaście punktów odśnieżania. Tysiące mężczyzn pracowało teraz z pasją. Robotnicy PRM Promet i Olimpii odśnieżali skrzyżowanie ulicy Wróblewskiego z Bratysławską. Przy rogu Świerczewskiego i Żeromskiego spotkałem pracowników **ZPB im. Dubois „Polino"**, a także wielu młodych ludzi w wieku szkolnym. Spytałem jednego z nich, spoconego, zziajanego, atakującego z furią bryły zamarzniętego śniegu:

— Z jakiego zakładu jesteście?

— Z żadnego.

— Liceum?

— Nie. Politechnika.

Nieco dalej, przy Gdańskiej i przy Wólczańskiej, także odśnieżali ci z **Politechniki.** Kolorowe szaliki, czapki i kożuchy, nieraz bardzo eleganckie i drogie, cisnęli na stertę śniegu. Starzy wyrzekają ciągle na młodych, ale... daj Boże zdrowie, aby każdy pracował z takim sercem, jak studenci. Łopaty dosłownie śmigały, trzydzieści metrów dalej osowiały dozorca byle jak odgarniał szuflą śnieg.

Przy Piotrkowskiej i Świerczewskiego spotykam walczących ze stertami śniegu pracowników **Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Dziewiarskiego**, wspomaganych przez ciężarówki **„Transbudu"**. Nieco dalej, przy Żwirki i Wigury, ważne, newralgiczne skrzyżowanie, dosłownie lśni, wyczyszczone do ostatniej grudki przez żołnierzy z **pułku im. Tadeusza Głąbskiego**. Dotychczas trzymałem się zasady, aby nie wymieniać nazwisk, wszystkie wyróżnienia wydawały mi się krzywdzące dla reszty. Trzeba jednak zrobić wyjątek dla żołnierzy. Owa grupa przewożona jest od rana z miejsca na miejsce. Sprzątali już na Zachodniej, Więckowskiego i Piotrkowskiej. Teraz czekają na ciężarówkę, która przewiezie ich w inny, skuty śniegiem i mrozem punkt miasta. Dowodzi nimi kapral **Grzegorz Kamiński.** Inni to: **Wacław Kowalski, Marian Kwiatkowski, Jan Świątek, Wojciech Wyczółek, Eugeniusz Komar, Marian Białek i Wojciech Antonowski.**

Pracownicy **Biura Projektów Przemysłu Papierniczego**, odśnieżający miasto od kilku godzin, w chwili, kiedy sekretarz partii, **Michał Walicki**, chciał zwolnić ich do domu, powiedzieli: — Szefie, a może zrobić jeszcze dwa rogi i skwer przy Delikatesach?

Studenci medycyny bez wezwania zaczęli odśnieżać szpitale.

To już jest coś. Miasto chwyciło się z zimą za bary. Trwała walka w elektrociepłowniach i na dworcach, a warto dodać, że pociągi z pobliskiej stolicy przyjeżdżały do Łodzi z dwunastogodzinnym opóźnieniem. Pochorowała się liczna, rozproszona po całej Europie, rodzina chilijska, która wyznaczyła sobie w Polsce u córki świąteczne spotkanie. Wybitna dziennikarka Trybuny Ludu spędziła w pociągu cały dzień, aby zdążyć na rodzinne uroczystości pogrzebowe. Tramwaje i autobusy kursowały znacznie regularnej, choć w dalszym ciągu były przystanki (róg Piotrkowskiej i Głównej, Andrzeja Struga i Tuwima), z których nie sposób było wedrzeć się do środka. Obok wyczyszczonych jezdni trafiały się jeszcze nie tknięte łopatą chodniki, i to w centrum, na przykład odcinek ulicy Struga od Kościuszki, w punkcie newralgicznym, gdzie trwa największy ruch — byłem tam świadkiem dwóch bolesnych upadków starszych ludzi.

W sobotnim wydaniu dziennika telewizyjnego wyróżniono łódzkiego dozorcę z Karolewa, **Stanisława Majdzińskiego.** Przyjąłem to z wielką satysfakcją, albowiem znam człowieka osobiście. Od wielu lat jest wzorem obywatelskiej postawy; bez ponagleń odśnieżanie zaczynał o godzinie czwartej — piątej rano: ulica, parking, dach... Uszczelniał okna, sprzątał wraz z żoną klatki schodowe, a ma ich aż sześć w jedenastopiętrowym wieżowcu; zawsze reagował na wezwanie lokatorów — jeśli zaistniała konieczność, biegł po pogotowie, naprawiał zepsute krany, bał roztargnionej właścicielce fiata przyniósł któregoś dnia do mieszkania zapasowe koło, które raczyła zostawić obok samochodu z wyładowanym akumulatorem. Jest prawdziwym gospodarzem domu — taktownym, uprzejmym. Szkoda tylko, że oprócz telewizji i lokatorów nie zauważyły tego władze **„Osiedla Młodych"**. Przecież kilka miesięcy temu właśnie Stanisław Majdziński został ukarany potrąceniem z premii za niedostarczenie do Spółdzielni Mieszkaniowej iluś tam kilogramów suchego chleba, na który owa instytucja ma intratny kontrakt z gospodarstwem rolnym. Ustawiono na klatkach pojemniki z napisem „suchy chleb", a lokatorzy nie chcieli ich wypełniać. Być może — w tym domu lokatorzy nie marnują chleba, być może dokarmiają ptaki, tak czy owak zapłacił za to wzorowy dozorca osiedla i kilku innych wzorowych dozorców. Bezduszna, urzędnicza maszyna potrafi uderzyć i nawet najlepszych.

W momencie, kiedy oddajemy tę relację do druku, zima trwa w najlepsze. Na złość meteorologom mrozy nie zelżały, a śnieg ciągle jeszcze prószy. Krótko mówiąc — mamy piękną, mroźną pogodę, z którą wspólnymi siłami potrafiliśmy się uporać. (W poniedziałek jednak mróz zelżał, ale zima jeszcze się nie skończyła — dopisek Redakcji).

Nikt już nie mówi o klęsce żywiołowej. Funkcjonują wszystkie elektrociepłownie, przejezdne są niemal wszystkie, nawet najbardziej peryferyjne ulice. W poniedziałek podejmą działalność żłobki, przedszkola, wszystkie szkoły i uczelnie, a także wszystkie zakłady pracy. Ludzie przestali wykupywać na zapas herbatę i chleb, nie wybuchła panika. Mleko dostarczane jest w porę.

Nie można wykluczyć, iż zima przypuści kolejny, groźniejszy szturm na wioski i miasta. Świat w gruncie rzeczy mniej się zmienił, niż nam się zdaje, mimo że nad głową wiją się smugi odrzutowców. Podobno słońce stygnie, ale nie raz jeszcze trafią się lata stulecia. Dużo wniosków wyciągnęliśmy ze swojej tysiącletniej historii i wiele jeszcze zdążymy wyciągnąć w przyszłości, a jednak ciągle jeszcze będziemy popełniać błędy.

Od warszawskiej publicystyki dowiedziałem się o przyczynach awarii elektrociepłowni na Siekierkach, w wyniku której znaczna część Warszawy trzęsła się z zimna.

Jak by nie brać, naród udowodnił, że ma poczucie wspólnego interesu. Egoizm nie popłaca. W ciężkich chwilach wszyscy odpowiadamy za wszystkich.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: W. Paryś

Mrożek po latach

Zaprezentowane na scenie Małej Sali Teatru Nowego „Drugie danie" Sławomira Mrożka nie wzbudziło we mnie specjalnego zainteresowania i entuzjazmu, lecz nie dlatego, że znałem tekst sztuki drukowanej z górą dziesięć lat temu na łamach „Dialogu". Zwykle wcześniejsza lektura nie osłabia, ale wręcz przeciwnie pobudza jeszcze ciekawość w oczekiwaniu na sceniczną realizację utworu. Tym razem jednak zamiast emocjonalnego zaangażowania pojawiła się refleksja, będąca nie tyle wynikiem dystansu do oglądanego spektaklu, co pewna uwaga natury ogólnej która — przez czysty przypadek — ten właśnie spektakl sprowokował.

Nie chcę bynajmniej czynić w tym miejscu uwag na temat współczesnej dramaturgii, w stosunku do której najczęściej używanym określeniem jest rzeczownik „kryzys": Mrożek szczęśliwie w najmniejszym stopniu może służyć za przykład tego procesu. Nie mogę natomiast oprzeć się wrażeniu (może jest to wywarzanie jeśli nie otwartych, to przynajmniej uchylonych drzwi) że część tej twórczości dezaktualizuje się w wyraźny i zauważalny sposób. I niewiele tu zdoła pomóc sprawna reżyseria, gra aktorska w najlepszym wydaniu czy dobra i pomysłowa oprawa scenograficzna. Wszystkie te elementy zawiera przecież reżyserska praca **Wojciecha Pilarskiego**. A jednak przy odbiorze „Drugiego dania" nieodłącznie towarzyszy nam myśl że mowa tu o zjawisku skończonym, zamkniętym, podsumowanym wiele razy i na różne sposoby. Jakże odmienne od obecnej reakcje budził na widowni „Garbus", czy w roku ubiegłym „Emigranci", choć o sposób interpretacji można by się oczywiście spierać. I tutaj tkwi chyba istota problemu. Mrożek przyzwyczaił nas do aktualności swoich utworów. Aluzje, a nawet ścisły związek z rzeczywistością, w którą zaangażowani byliśmy na bieżąco stanowiły o ich sile oddziaływania. Ta aktualność domaga się natychmiastowej reakcji ze strony teatru. Inaczej obraca się przeciwko autorowi.

Tyle początkowa może zbyt przydługa dygresja. Wydawała mi się jednak konieczna przed zaprezentowaniem samego spektaklu.

Zaleta jego i to nie podlegającą dyskusji, jest z pewnością aktorstwo. **Wojciech Pilarski** prowadzi czteroosobowy zespół sprawnie, dbając w równej mierze o właściwe rozegranie scen zbiorowych, jak o grę indywidualną. Osiąga dzięki temu efekt partnerstwa, który sprawia, że nie ma w spektaklu ról lepszych czy gorszych. Z podobną satysfakcją obserwujemy pozostającego na scenie niemalże przez całe dwa akty **Ryszarda Dembińskiego**, jak i **Tomasza Fogla**, który wkracza do ustronnej leśniczówki w końcowych scenach przedstawienia. Dbałość reżysera o możliwie najlepszy efekt sceniczny jaie zresztą znać o sobie często, jak choćby w trafnym sposobie połączenia pierwszej części spektaklu z drugą. Postaci zastygają w bezruchu jak na zatrzymanej klatce filmowej a widz zastaje po przerwie sytuację identyczną, jak przed opuszczeniem sali. Sam pomysł nie jest może najświeższej daty, ale w tym określonym przypadku spełnia swe zadanie bardzo dobrze sugerując odbiorcy nie zakłócona niczym ciągłość akcji.

„Drugie danie" stanowi swoiste przeciwieństwo komedii klasycystycznej. Dla Moliera, czy jego polskich naśladowców reguła było ubieranie pożądania, skąpstwa i chciwości w szaty cnoty lub służby bożej. Na tym między innymi polegał efekt komiczny osiemnastowiecznych utworów. Mrożek z pełną świadomością ucieka się do zabiegu odwrotnego. Różnorakie relacje zachodzące między postaciami komedii (zarówno rodzinne, jak i polityczne) umieszcza w sferze seksu. Erotyczne podłoże ma bunt Małego wymierzony przeciw Tacie, takie samo próba uwiedzenia synowej i walka o Małego między Tatą i Widmem. Każda z postaci jest przedmiotem manipulacji trzech pozostałych, a jednocześnie animatorem wydarzeń. W miarę rozwoju akcji przybywa tych wzajemnych uwarunkowań, by w chwili pojawienia się Widma, a później Małego przybrać rozmiary niemal monstrualne. Ale jednocześnie mają wszyscy chwile pozornego triumfu: Ona — gdy zmusza Tatę do miłosnego wyznania; Widmo — gdy wzbudza uczucie Małego i Mały — gdy idąc za głosem serca próbuje opuścić żonę i ojca. Jednak prawdziwe zwycięstwo odnosi tylko Tato, któremu zresztą w sukurs przychodzi samo życie rozwijając przed Małym bliską już perspektywę ojcostwa. I na tym kończy się krótkotrwały bunt. Ten właśnie moment został w spektaklu W. Pilarskiego wyraźnie podkreślony finałowa scena nieco odmienna od tej jaką sugeruje didaskalia Mrożka: Ona i Mały zasiadają na kanapie po obu stronach zadowolonego i wyraźnie usatysfakcjonowanego — niczym po stoczeniu zwycięskiego boju — Taty.

Powróćmy jednak do samych aktorów. Ona — **Barbara Dziekan** i Tato — **Ryszard Dembiński** tworzą w akcie pierwszym duet bardzo udany. Nie są to może kreacje wybitne, ale z całą pewnością więcej niż tylko poprawne. Również postać Widma w premierowym wykonaniu **Andrzeja Maya** jest niewątpliwym sukcesem tego aktora. Widmo wodza w przedstawionej przez Maya wersji staje się, jak gdyby, koniecznym elementem całego spektaklu. I wreszcie **Tomasz Fogiel**, mający co prawda znacznie skromniejsze możliwości ekspresji (choćby ze względu na rozmiar roli) tworząc postać Małego, nawiązał równorzędny kontakt z zespołem.

Wydaje się, że aktorzy i reżyser wykazali również postulowane przez Mrożka „poczucie taktu i powściągliwość" co nie może jednak zaprzeczyć twierdzeniu, iż „Drugie danie" na scenie Małej Sali Teatru Nowego podano trochę za późno.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Teatr Nowy, Mała Sala. Sławomir Mrożek: „Drugie danie". Reżyseria: Wojciech Pilarski. Scenografia: Iwona Zaborowska. Premiera 15 grudnia 1978 roku.

IGOR SIKIRYCKI

WIERSZE Z DAWNYCH LAT

WISŁA

...i wstręty, porty i pożytki jej
rad bym złotem pisał
S.F. Klonowic

(fragmenty poematu)

Jakim Cię słowem nazwać, rzeko
Kołysko legend mego kraju,
Struno, na której nowym wiekom
Pradawne wieki pieśni grają?

W Tobie jest wszystko co najdroższe
Krew i kość nasza, gniew i radość,
I pieśń szeroka jak Mazowsze,
I gwiazda, która nocą spada.

Śpiewał dźwięczące Twoje wody
Mistrz Jan pod lipą czarnoleską,
A ty posłuszna strofom ody
I srebrną byłaś, i niebieską.

W Tobie są barwy wszystkich kwiatów.
Nad Tobą skrzydło pszczoły brzęczy.
Uczysz nas bieli i szkarłatu,
Wisło — przybrana siostro tęczy.

Za nurt i brzeg Twój wiecznie młody,
Za to, żeś w biegu nieznużona,
Za każdą kroplę czystej wody
Bądź, Wisło, wierszem pozdrowiona.

— — — — — — — — — —

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi.
J. Kochanowski

Obłaskawimy ciebie, Wisło!
Twój prąd skłócony zawsze z lądem
Zabłyśnie światłem, mocnym prądem,
Stanie się jasną smugą —
Iskrą!

Światło popłynie przewodami,
Aby w kopalniach mrok przenikać,
Gdy lampkę ujmie dłoń górnika,
Ujmie dojrzałą różę blasku
Wyhodowaną w dniach pokoju —
A korzeń róży w nurcie twoim.

Obłaskawioną błyskawicą
Spłyniesz do fabryk, hut i tkalni,
Rozpędzisz walce, tryby, osie,
I tam na zawsze się rozgościsz.
Staniesz się mądrą robotnicą
Co przy milionach czuwa krosien
Z robotnicami z krwi i kości.

I odtąd wiry twego nurtu
Będą wir wrzecion przypominać...
I odtąd barwy twojej fali
Będę przewijać się w tkaninach.
A kiedy do twych nowych brzegów
Z połowu wrócą ciężkie łodzie
I noc zagrodzi drogę tratwom,
Pokonasz noc, bo w twojej wodzie
Drzemie od wieków nasze światło.

Posłuszna rękom brygadzisty,
Wzniesie turbina spod zapory
Kołczany pełne strzał świetlistych
Jak zatopione gwiazdozbiory
I porozwiesza na latarniach.

Widzę, jak jasność mrok odgarnia.
Widzę te światła, już są blisko —
Dłoń robotnika je roznieci...
A wtedy matka nad kołyską
Szepnie do dziecka: — Wisła świeci.

1953

ŁÓDŹ NICIARNIANA

Garbią się domki jak w mrocznej baśni
Czarnych korali zerwany sznur.
Za parkanami umiera jaśmin
I noc się zbliża na skrzydłach chmur.

Na stromych dachach srebrzy się papa,
Zawiewa smoła i cuchnie grzyb.
Księżyc o pulchnej gębie pijaka
Klei się nosem do wąskich szyb.

Zagląda, węszy, szuka Ariadny,
Tej, co utkała najdłuższą nić
By jej Tezeusz, młody czeladnik,
wrócił do domu, gdy skończy pić.

By z labiryntu ulic i maszyn
Na Niciarnianą dowlókł się znów,
Tu gdzie Ariadna śpi na poddaszu
Spragniona pieszczot i zwykłych słów.

Rok 1952

Naczelnym zadaniem wszelkiej sztuki, a więc tym, którego nie zdegraduje do relatywizmu żaden układ i żadna formacja społeczna, jest wskazywanie tym, którzy obdarzeni zostali tylko pięcioma zmysłami i gubią się w chaosie świata, w chaosie wartości, jakie nagle i niespodziewanie okazują się być nietrwałymi — dni, której musimy się podporządkować, abyśmy mogli w przyszłości powiedzieć sobie, że nasze krótkie, nietrwałe i pełne cierpienia życie — było jednak potrzebne; czemuś, albo komuś służyło. Artystów po wielekroć „szufladkowano", wpisywano w wykoncypowane kategorie przypisywano nie istniejącym „szkołom" i tak dalej. Byli więc czerwoni, biali i (profesor Pimko się kłania) zieloni. Pozwolę więc sobie wprowadzić jeszcze inny, znacznie moim zdaniem sensowniejszy podział na artystów pomagających nam żyć jako istotom społecznym i tych, którzy towarzyszą nam w naszych prywatnych, najbardziej osobistych radościach i w naszym cierpieniu. Tu bez ich współuczestnictwa — bylibyśmy zupełnie bezradni i zupełnie sami.

Spośród interesujących mnie trzech pisarzy Kielecczyzny, więc regionu, który wydał twórców miary największej, że wymienię choć Dygasińskiego i Żeromskiego, Ryszard Miernik należy do pierwszej z wyróżnionych przeze mnie kategorii. Wyczulonego na relacje człowiek: społeczeństwo, inspiruje głównie świat otaczający. Miernik jako ten, który dysponuje „szóstym" zmysłem, nadwrażliwiec, który widzi i słyszy — jak to określał w krótkim okresie swej „genialności" (**Z psychologii jednostki twórczej**) Stanisław Przybyszewski — mówi nam o naszej rzeczywistości to, czego my nie jesteśmy w stanie dostrzec i tym samym zrozumieć. Mimo iż po staroświecku uważam że królowa literatury jest poezja w wypadku Miernika — zacznę jednak od prozy. Jego powieść **Dożynki w mieście** (Łódź, 1976 rok), polecam gorąco do lektury działaczom kulturalnym oświatowym i innym na wszystkich szczeblach. Anegdota utworu jest dość blaha. Prowincjonalne miasto przygotowuje się do jubileuszu Iluśtamlecia swego istnienia. Iluśtamlecie — jak to u nas we zwyczaju należy celebrować. Święto miasta — to jednocześnie korowód długotrwałych narad, nasiadówek, stos, jak przystało papierków. Włączeni w przygotowanie jubl., niechętni i broniący się przed tym z całej swej mocy kozły ofiarne, zmęczeni, zziajani i wściekli, mają w końcu serdecznie dość pomp. Tylko jeden jedyny z bohaterów utworu, naiwniaczek, lokalny patriota, rozkochany w historii swego miasta, szczerze się wzrusza uroczystością i z całego serca się w nią włącza. A jubileusz — jak jubileusz przemówienia tych: mowa-trawa, slogany, cyniczne i napuszone banały. Jeśli nie uśmiechamy się przy lekturze tej książki to tylko dlatego, że pamiętamy tragiczną w swej wymowie odpowiedź wielkiego Rosjanina korygującą chętkę do taniego śmiechu z naszych powszechnych przywar. Jest jednocześnie ta książka Miernika satyrą na tzw. małżeństwo partnerskie — związek śmiertelnie zmęczonej obowiązkami zawodowymi (między innymi przygotowywaniem jubileuszu) i domowymi kobiety ze śmiertelnie zmęczonym tymi samymi obowiązkami mężczyzny. Miłość, przyjaźń powoli przechodzi na swe antypody. Przemienia się w niechęć, poczucie obcości, obojętność. Jest to równocześnie satyra na „nasza mała stabilizację". Chęć urządzenia się drobnomieszczańskie ciągoty do życia jak się żyje w tzw. wyższych sferach prowadzą do uczynków zdecydowanie nieetycznych.

Miernik wyczulony jest nie tylko na nasza teraźniejszość, ale i na historię. Mówiąc słowami autora **Niobe**, ocala od zapomnienia" tragiczne chwile naszego narodu. W poemacie **Pieśń o Michniowie** (Łódź 1970) poświęconym „Pamięci pomordowanych przez Niemców w Michniowie 12 i 13 lipca 1943 roku" opowiada o jednej z nieprzeliczonych zbrodni jaką dokonali wynaturzeńcy na ludności cywilnej.

Ciekawym zabiegiem stylistycznym utworu to swoiście unaiwniona narracja. Autor próbuję spojrzeć na dramat oczyma jednego z współuczestników nieszczęścia — wieśniaka. Stąd, jako że cecha myślenia „ludowego" jest myślenie nie za pomocą abstrakcji, ale myślenie obrazowe — Miernik poddał wieś zabiegowi personifikacji:

Na starym progu siedzi wieś
Oparła plecy o ścianę
Nie czuje rąk nie czuje nóg
(...)
Od wozdołu zima przyjdzie
Wtedy wieś dźwignie się
Włoży na siebie siedem chust i serdaków.

Posługujący się wierszem wolnym i prozą poetycką autor wplótł w tok poematu i sześciozgłoskowiec rymowany — rozmowę wieśniaczki z oprawcą, będącą stylizacją na balladę ludową.

Posłużył się również archetypem lasu, który towarzysząc pokoleniom w ich zmaganiach się z losem, trwały, współodczuwający i wtajemniczony — towarzyszy i nam. Jest łącznikiem między tymi, co odeszli a nami, którzy trwamy póki nie zmieni się warta.

Jest jednocześnie Miernik autorem lirycznych wierszy pejzażowych, poświęconych krajobrazowi świętokrzyskiemu, a także wierszy, w których odtwarza urodę miasta, wprowadzonego na trwałe do historii naszej literatury przez Żeromskiego. Z tomu pod tytułem **Strugam** (Łódź 1965) pozwalam sobie jednak zacytować utwór tyleż urokliwy, co przewrotny. **Kiedy wieczorem chodzę po Kielcach:**

Zadzik dowcip jak rożen obraca
Głowy skwierczą
Po brodach kapią blaski
Sołtyk o kamieniczkę myślą oparty
Słucha brzuchem
Ulicami Kozią Bodzentyńską
Prezydenci miasta chodzą
Szkapy przydeptują noc
Dorożkarską podkową
Policjanci od starozakonnych
Pejsaty sztraf bioro
Baby jak koty na progach drzemią
W resursie ćwikiery
Panie bluszczem oplatają karki
Cygańskie tango skrzypce płaczą
Biruta pod latarnią
Czeka na Staszica.

Henryka Jachimowskiego i Bogdana Pasternaka inspirują głównie przeżycia wewnętrzne, więc ów świat skryty przed cudzym okiem i niedosłyszalny cudzym uchem. O ile jednak Pasternak w swych realizacjach odwołuje się przede wszystkim do uczuć odbiorcy, o tyle Jachimowski usiłuje znaleźć z nim porozumienie na płaszczyźnie intelektualnej. I w **Pieśniach wyśpiewanych** (Łódź 1970) i w **Mitach powracających** (Łódź 1975) stylizuje swoje wiersze na rozmowę z czytelnikiem, z charakterystycznymi dla niej nagłymi zmianami tematu, nie kończenia rozpoczętych wątków, powracaniem do treści zdawałoby się zaniechanych itd. Te zabiegi sprawiają, iż nie są to utwory łatwe w odbiorze. Nie proste też jest i ich meritum. Artyste interesuje tu głównie relacja: poeta, więc z natury rzeczy nadwrażliwiec i świat. Po wielekroć stawia sobie Jachimowski pytania na czym polega funkcja poezji, jaką rolę spełnia w społeczeństwie artysta. Obok treści śmiertelnie poważnych nieobcy jest i Jachimowskiemu dowcip, zgrabnie skontruowany, trywialny niekiedy w założeniu, żart.

Z bogatej tradycji poezji dwudziestowiecznej przejął bardzo wyraźnie tu manifestowaną niechęć do drobnomieszczaństwa, z którego szydzi prowokuje, pokazuje językiem. Przykładem na to niech będzie wplecenie fraz z jednego spośród najbardziej znanych sonetów Petrarki w tok drastycznego już w swoim założeniu wiersza **namawianie Laury:**

chodź mówię Lauro
zapraszam cię na miłość
nie masz dzisiaj miłości

jeśli nie masz miłości cóż jest co
ja czuję

czujesz co chcesz
a ja nie chcę
ja się piekę w sianie
rad nierad
sama samiutka —
iż nie masz dzisiaj miłości
jeśli nie ma miłości
czemu gorę sam chcący
sam chcesz
sam goresz.

Erotyzm w wierszach Jachimowskiego jest szczególnie drapieżny. Po wielekroć grawituje tu poeta na samej krawędzi dobrego smaku. Barierka chroniąca go przed „kleską" jest cieniuśleńka — niemniej zawsze wychodzi z sytuacji co najmniej bardzo skomplikowanych obronną ręką. Jest to zasługa nie byle jakiego talentu.

Poeta zdaje sobie w pełni sprawę ze skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazła się poezja dzisiejsza. Kryzys całej zresztą sztuki łączy się w jego przekonaniu z nimbem, jakim otaczamy oryginalność, oryginalność bardzo często za wszelką cenę, niejako więc wbrew samym sobie. W wierszu zatytułowanym **nieporozumienia** (ze słów) pisze:

mówię
Róża
bo czuję w sercu RÓŻĘ
ciebie (...)
kwiat
poeta który pierwszy przyrównał
kobietę do kwiatu był mistrzem
nie jesteś pierwszy mówi
nie szkodzi mówię
kwiecie ty mój.

Jachimowski jest turpistą i to nie z racji mody na brzydotę, ale ze szczerego przekonania, iż obowiązkiem artysty jest pokazywanie świata takim, jaki jest w rzeczywistości, a nie takim, jaki widzimy w marzeniach. W swych wierszach wskazuje na chaos, w którym, chcąc czy nie się pogrążamy, próżno szukając odpowiedzi na pytania, które takich nie posiadają. Jest artysta i moralista i błaznem, nowatorem i tym, który szuka dla swej poezji punktów oparcia w przeszłości. Pisze więc na przykład sonet **(do Lili)**, który, jeśli mierzyć go wzorcami z kanonu francuskiego czy włoskiego, jest kaleki, jeśli natomiast zastosujemy doń relatywny przecież kanon estetyczny naszego czasu — utwór ten ze swymi chropowatymi niedorywami w cudacznym zresztą układzie — zdaje się być propozycją szczególnie interesującą.

Jachimowski jest również prozaikiem. Jego powieść zatytułowana **Skaza** (Warszawa 1976) zyskała sobie niemały rozgłos. Wykazuje w niej autor, że chłopskie pochodzenie z dziada pradziada przekazywana miłość do ziemi, nie da się tak od razu wyplenić. Inteligencjak pochodzenia wiejskiego choćby mu nie wiem jak dobrze ułożyło się jego „miejskie" życie, zawsze będzie za ziemią tęsknił. Tych wszystkich, którzy szukają w utworze literackim ciekawej fabuły, wartkiej akcji, Jachimowski zdecydowanie rozczarowuje. Wszystko bowiem w jego powieści dzieje się na niby". Goraczkowe majaki, zwidzenia, to wielekroć przywoływane i tłumaczone kompleksy dawniej wiejskiego chłopaka a teraz mieszczucha, przeczą sobie nawzajem, mieszają się z sobą. Czytelnik nie bardzo wie, co jest marzeniem bohatera, a co jego rzeczywistym przeżyciem. Konwencja, która każe pisarzowi poprzestać na zrelacjonowaniu li tylko stanów psychicznych bohatera bez szukania ich podłoża w realności, powstała na przełomie wieków, chciałoby się rzec, że jest już mocno staroświecka. Posłużył się nią Jachimowski jednak po to, aby wskazać, że dla „chłopa z chłopów" wykorzenionego wewnętrznie przez życie w nowych warunkach jedynym punktem oparcia, jedyną wiarą, jedyną miłością i jedyną realnością, która warto życiem opłacić, jest właśnie owa ziemia, której się był wyrzekł.

Kolejna powieść Jachimowskiego **Mgła** (Łódź 1976) jest już wyraźnie przeznaczona dla czytelnika wyrobionego. Stawia w niej bowiem artysta te pytania, jakie po wielekroć stawiał w swej lirce. Pyta o sens ludzkiego życia w ogóle, i sens walki o zachowanie człowieczej godności w warunkach najtrudniejszych. Jest to powieść o śmierci, której jak to już powiedział pewien wielki filozof, po wielekroć ulegliśmy, a wciąż, jedyne na ziemi istoty mające całkowitą świadomość nieuchronnego końca, obawiamy się, trwożymy, buntujemy, nie chcemy się z nią pogodzić. W tej powieści każdy z bohaterów jest jednocześnie sobą i kimś innym, jak Kolumb odkrywa swoją Amerykę, podczas gdy my wiemy, że powiela już niejako archetypiczne gesty. Jest Chrystusem i jest człowiekiem. Ideowcem i kanalią, Hedonistą i asceta. W stworzonym przez Jachimowskiego świecie nie ma skutków i ich przyczyn. Wypadki następujące po sobie są niczym ze sobą niepowiązane. Jest to mądra powieść o chaosie, w jakim my jako ludzie z krwi i kości szukający odpowiedzi dlaczego coś jest Dobrem, a coś jest Złem — pogrążamy się, ale pogrążamy się nie bez walki. Jest to jednocześnie książka o ludzkim cierpieniu bez miary i ludzkim krótkotrwałym, przelotnym, maleńkim szczęściu.

Bogdan Pasternak, jak już się rzekło, odwołuje się do najbardziej osobistych, najbardziej bolesnych przeżyć czytelnika. Jednoczy się z nim w jego cierpieniu, w jego trosce, pomaga adresatowi w najstraszniejszych momentach jego samotności. W swych zbiorkach **Wiklinowe słowa** (Łódź 1965), **Klatka** (Łódź 1973), **Powroty** (Kielce 1975) mówi o przemijaniu: uczuć, idei wreszcie życia. Są to wiersze o naszym ludzkim niespełnieniu. O braku szczęścia, o nietrwałości rzeczy i spraw ukochanych, o tym, że i my, tak zabiegający o stoleczki i stołki — miniemy, przepadniemy w czasie i przestrzeni. Pasternak nie stara się nas pocieszyć. Nie sięga po oręż taniego optymizmu, nie zwodzi. Opowiada o pustce po bliskich, którzy, ku naszemu strapieniu przemienili się ciałem i krwią w ziemię. O bólu, który tępieje na szczęście, ale nie mija. Pisze wreszcie o niemożności pełnego porozumienia się człowieka z najbliższym mu nawet człowiekiem. Samotność artysty w tym ujęciu sprowadzona została do samotności zwykłego zjadacza chleba. Według Pasternaka wyróżnikiem twórcy jest tylko to, że potrafi o swym nieszczęściu, o naglym braku, przeczyniej niż inni opowiedzieć. Pasternak wierzy w mitotwórcze zmarłych obcowanie. Nasi najbliżsi przenadają jak kamień w wodę, ale jednak są zawsze z nami, silniejsi niż za życia, bo dopiero po katalizmie korzystamy z ich doświadczeń rad i pouczeń i przekazujemy je następnym pokoleniom. W wierszu **Rozmowy** (tomik **Powroty**) pisze:

Ojciec rośnie
Jest coraz większy
Już nie wyrobnik
Nie cieśla
Lecz twórca mitów
Które we mnie żyją.

Dom rodzinny, który ku naszej wielkiej rozpaczy przestał nagle istnieć rozpaczy przestał nagle istnieć transponujemy w nowe warunki, przemieniamy w dom rodzinny naszych dzieci. W wierszu **Wigilia** (tomik **Powroty**) pisze:

Szukam gwiazdy

W noc wigilijną
Jesteś już
I ja jestem
Samotni we dwoje

Za twoje zdrowie
I mojego syna
Który jeszcze nic nie rozumie
(...)

Każde wyciągnięcie ręki
Płoszy ciszę
Zawsze był w domu smażony karp
Pierogi i barszcz z grzybów

Domu już nie ma
Więc przyniosę tu opłatowską ziemię
Podłoże jedlinę i wiechetek słomy
Usiądziemy do wieczerzy
Ojciec chętnie wypije szampana

Miernika, Jachimowskiego, Pasternaka — dzieli wszystko, problematyka, zakres artystycznych penetracji, poetyka wreszcie. A co łączy? Nie wierzę, aby istniała odrębna sztuka kielecka, krakowska, wrocławska, warszawska, łódzka. Wierzę natomiast głęboko, że istnieje niepodzielna sztuka polska, której Miernik, Jachimowski i Pasternak są współtwórcami.

A sztuka jest wieczna, tak jak nasze cierpienie, jak nasze, z góry skazane na porażkę, poszukiwanie prawdy. Więc może jednak jest Absolutem?

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

PORTRETY TRZECH PISARZY

10840-A

KONRAD TUROWSKI

Z JEDNEJ RODZIMEJ BRYŁY...

PORTRET LAUREATKI

TERESA ŁANKOWSKA nie czyta „Kuriera Polskiego". Pierwszy raz zobaczyła tę gazetę otwierając dużą, szarą kopertę zaadresowaną na jej nazwisko i opatrzoną firmowym nadrukiem redakcji. Na pierwszej stronie gazeta donosiła: „Laureatką Orderu Uśmiechu przyznanego w pierwszym dniu wiosny 1978 roku jest Teresa Łankowska, nauczycielka z Suwałk, opiekunka samorządu szkolnego, organizatorka uwielbianych przez młodzież obozów wędrownych, wycieczek i kuligów"...

Wniosek o przyznanie pani Łankowskiej Orderu Uśmiechu wysłały dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Suwałkach.

„Pani Łankowska — napisały — **pracuje w szkole ponad dwadzieścia lat. Uczy nas geografii, prowadzi Koło Turystyczno-Krajoznawcze i jest opiekunką samorządu szkolnego. Nasza pani jest zawsze miła i uśmiechnięta. Organizuje nam ciekawe wycieczki, kuligi i obozy wędrowne. Cieszy się popularnością w naszej szkole i w całym mieście. Redakcjo, bądź tak uprzejma i poprzyj kandydaturę naszej pani w Wysokiej Kapitule".**

Przeszło dwie strony podaniowego arkusza zajęły, złożone maczkiem podpisy dwustu trzydziestu czterech uczennic i uczniów.

Podczas uroczystości pasowania, urządzonej z godnym ceremoniałem w zorganizowanej na czas wakacji Republice Dziecięcej w Wierzchach k. Tlenia w województwie bydgoskim, wręczono jej sąsiedzki Order i legitymację z numerem 187. Nazwisko nauczycielki z Suwałk wpisano na honorową listę laureatów Orderu Uśmiechu, obok najwybitniejszych przyjaciół dzieci w kraju i za granicą tak sławnych jak prof. dr Wiktor Dega, autorka „Muminków" Tove Jansen, Sergiusz Obrazcow czy cesarzowa Iranu...

błyskawicy. Dosłownie w ciągu kilkunastu minut pod siedzibą komitetu zebrał się tłum. Każdy chciał się przekonać na własne oczy, że w Sejnach jest rzeczywiście Edward Gierek. Bo miasto nigdy wcześniej nie zaznawało zaszczytu goszczenia pierwszej w państwie osobistości. Ludzie skłonni byli wierzyć, że naprawdę mieszkają na końcu świata i to nigdy się nie odmieni.

Po wprowadzeniu reformy administracji państwowej zaczęło się jednak zmieniać na lepsze.

— Realizujemy dwadzieścia różnych inwestycji — mówi tow. Żdanuk.

— Trzy lata temu nie było ani jednej, po prostu nic się tu nie działo. Teraz rozbudowujemy mleczarnię, powstanie fabryka obuwia, kosztem 15 mln zł zmieniamy bezużyteczne bagna w park kultury i wypoczynku, restaurujemy zabytki przystosowując je do współczesnych wymagań i celów, ale największą uwagę przywiązujemy do rozwoju budownictwa mieszkaniowego. W liczących niespełna cztery tysiące mieszkańców Sejnach, siedemset rodzin czeka na nowe mieszkania. Trzeba jak najszybciej wyprowadzić ludzi z rozpadających się ruder pamiętających początki zeszłego stulecia. Wymagania szybciej rosną niż możliwości. Cieszymy się, że połowa sejneńskich nauczycieli legitymuje się ukończeniem wyższych studiów, gdy w skali krajowej wskaźnik ten nie przekracza 37 procent. Ale wykształceni ludzie chcą mieć takie mieszkania, w których będzie miejsce także na książki...

Spacerowaliśmy z Aleksandrem Żdanukiem i jego żoną Jadwigą po Sejnach, zjeździliśmy wszerz i wzdłuż gminę sejneńską. Gdy na ul. Mickiewicza trzęsło „Trabantem", mówił usprawiedliwiająco: **— Jeszcze tu mamy bruk, bo konserwator nie zgadza się na ułożenie asfaltu. Twierdzi, że nawierzchnia zabytkowa...**

Nie ukrywał irytacji gdy na budowie ośrodka wczasowego dla Politechniki Białostockiej zastaliśmy murarzy, którzy raczą się piwem. — **Zależy nam przecież na solidnym i terminowym wykonaniu tej inwestycji** — tłumaczył. — **Stawiamy na turystykę, a same walory naturalne — prawie setka jezior i lasy — nie wystarcza. Musimy rozbudować bazę wypoczynkową i to jak najszybciej...**

Z troską gospodarza komentował — spostrzegając uwijające się na polach kombajny:

— Już po centralnych uroczystościach dożynkowych w Olsztynie, a tu jeszcze tysiąc hektarów zboża do zebrania. Dość mamy maszyn, ludziom nie brakuje chęci do pracy, ale pogoda w tym roku wyjątkowo niełaskawa. Gdyby choć przez tydzień nie padało...

W Wiżajnach przekonaliśmy się, że temperatura jest jeszcze niższa niż w Suwałkach. Wszak tu jest prawdziwy biegun zimna w Polsce.

Byliśmy też na przejściu granicznym.

— Często korzystamy z tego przejścia — powiedział wtedy A. Żdanuk. **— Utrzymujemy niemal codzienne kontakty z radzieckim miastem przygranicznym Łoździeje, wymieniamy autobusy przyjaźni. Mamy wiele wspólnych spraw. Nasze pola uprawne przecież się stykają. Niedawno przewodniczący kołchozu litewskiego, graniczącego z naszym „pegeerem", specjalnie przyjechał zobaczyć jak z polskiej strony prezentuje się jego gospodarstwo....**

Za ladą w Krasnopolu, przy półkach pełnych śrubek kantowych, zawiasów, kłódek i najrozmaitszych wyrobów z żelaza i stali poznaliśmy Stanisławę Ładanowską — artystkę ludową. Jej obrazy już nawet w telewizji prezentowano. W sklepie podaje klientom trzycalowe gwoździe — w domu precyzyjnie operuje najcieńszymi pędzlami. Maluje portret dziadka. Był fornalem we dworze. Od pańskich dzieci nauczył się czytać i pisać. Później uczył parobków. Tylko zimą, jak było mniej roboty. Żadnych książek ani zeszytów nie mieli. Więc dziadek chuchał na szybę i na niej wypisywał palcem litery.. W Krasnopolu jeszcze żyje **Zygmunt Rynkiewicz**, którego dziadek pani Ładanowskiej w taki sposób nauczył pisać i czytać...

Aleksander Żdanuk zna każdą piędź sejneńskiej ziemi, jest jednym z jej mieszkańców rozkochanych w przyrodzie, szczodrych w gościnności, wrażliwych na piękno otaczającego świata. 16 lat pracuje w aparacie partyjnym. Jest absolwentem dwóch fakultetów: rolniczego i pedagogicznego. Ma 40 lat ale wygląda młodziej. Jadwiga dała się zwieść, bo żeniąc się powiedział, że skończył dopiero 26 lat, a napawdę miał wtedy 30. Po ślubie studiowała rusycystykę. Uczy w Szkole Podstawowej im. mjr Hubala, który w Sejnach we wrześniu 1939 roku rozpoczynał swój szlak bojowy. Do tej samej szkoły chodzą obaj synowie Żdanuków — młodszy do pierwszej klasy, starszy do drugiej.

Gościnność gospodarzy i urok ziemi sejneńskiej sprawiły, że do pani Łankowskiej wybrałem się dopiero po kilku dniach. Uprzedzona listownie spodziewała się tej wizyty.

— To wyróżnienie było dla mnie tak niespodziewane... Wydaje mi się, że wszystko co robię jest moim zwykłym obowiązkiem wobec dzieci... — mówi z naturalną skromnością. Ujmujący uśmiech nie znika z jej twarzy. Jest blondynką o włosach jasnych jak pszeniczne łany, gładko zaczesanych. Nie ma w sobie ani odrobiny belferskiej surowości. Cieszy się, że poznawałem Sejny i okolice. — **Są to moje strony rodzinne. W Berżnikach, niedaleko resztek spalonego dworu królowej Bony, urodziłam się i wychowałam. Widział pan pocztę? Właśnie w tym domu mieszkaliśmy z rodzicami aż do wybuchu wojny...**

Ale pani Teresa woli opowiadać o teraźniejszości, swojej pracy w szkole, wycieczkach i własnych dzieciach. Pokazuje pamiątkowe albumy pękate od zdjęć roześmianych buzi swoich wychowanków. Są to ilustrowane kroniki wypraw w nieznane, kuligów, pieszych wędrówek. Czytam starannie wykaligrafowane fragmenty:

„Polną drogą, okrążającą porośnięte bujną roślinnością wzgórze zeszliśmy nad jezioro w Okuniowcu. Później wspinaliśmy się na górę, którą przezwaliśmy „Jajo" bo taki ma jajowaty kształt. Namęczyliśmy się ta wspinaczka ale w nagrodę podziwialiśmy przepiękny krajobraz polodowcowy"...

„W Augustowie nie obyło się bez przygody. Chłopcy zatrzasnęli drzwi od sypialni i trzeba było wyjąć szybę. Z braku szklarza pani Łankowska musiała wstawiać szybę, aby kierownictwo schroniska się na nas nie gniewało"...

„Idąc przez Kleszczówek nasza pani opowiadała, że z 6 na 7 lipca 1944 roku, tuż przed wyzwoleniem suwalszczyzny, hitlerowcy spalili w drewnianym domu ludność schwytaną w okolicznych lasach. Wśród zamordowanych były niemowlęta i dzieci"...

„W Berżnikach złożyliśmy kwiaty na grobach dwudziestu mężczyzn, których hitlerowcy powiesili 18 maja 1944 roku".

— A więc, pani Tereso, nie da się oddzielić geografii od historii. Czy powiedziała pani dzieciom o przyjacielu pani ojca, Piotrze Szyryńskim, który z pętlą szubieniczną z drutu kolczastego na szyi krzyknął: „Niech żyje Polska"?...

— Wie pan, dla dzieci to są bardzo odległe czasy. Ale może ma pan rację, ucząc geografii właściwie uczę ich historii i patriotyzmu. Tutaj na suwalszczyźnie nie można oderwać piękna tej ziemi od jej dramatycznej i heroicznej przeszłości. Czasem się zastanawiam czy tych wycieczek, wypraw i kuligów nie organizuje właściwie z pobudek osobistych, z chęci odwiedzenia miejsc i zakątków związanych z moim dzieciństwem, młodością?...

Przed wojną rodzicom powodziło się bardzo dobrze. Matka nie pracowała, zajmowała się wychowywaniem dzieci, prowadzeniem domu. Do tego jeszcze mieli gosposię i niańkę. Ojciec był policjantem. Zaraz po wkroczeniu Niemców, 20 kwietnia 1940 roku, został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego. W przeddzień przybiegł wieczorem p. Karłowicz i ostrzegał, że będzie obława. **Gabriel Nieciński** nie chciał jednak zostawić rodziny na łasce losu. Syn, Stanisław, miał zaledwie trzy dni.

Byłego policjanta zabrano razem ze **Stefanem Chmielewskim**, kierownikiem szkoły. W kilka miesięcy później z Oranienburga przyszła tragiczna depesza: **„zmarł" z powodu przeziębienia".** Odesłali rodzinie zakrwawioną chustkę do nosa i strzępy koszuli...

Jadwigę Niecińską z czworgiem dzieci wysiedlono. Najstarsza córka **Jadwiga**, miała 16 lat. Mieszkania zajęła żandarmeria. Bezdomną gromadkę przygarnęła pod swój dach pani Chmielewska. Obie prowadziły tajne nauczanie. Już wtedy **Piotr Szyryński** organizował w Berżnikach pomoc dla wdów i sierot.

— Najzupełniej niespodziewanie — wspomina pani Teresa — **zjawiali się nieznajomi i dawali matce mleko, chleb, jajka... Z początku mama pytała: — od kogo te dary? — To dług wobec pani męża — odpowiadali hojni ofiarodawcy, aby matki nie urazić darowizną. Tacy już tu są ludzie, ogromnie wyczuleni na punkcie honoru... Matka pewnie wolałaby głodować niż przyjąć jałmużnę...**

Po wojnie nie od razu się poprawiło. Jadwiga Niecińska przeniosła się z dziećmi do Suwałk. Dostała mieszkanie, ale stałej pracy jakoś nie mogła znaleźć. W ankiecie personalnej pisała, że mąż był policjantem. To było źle widziane. Kto mógł wówczas się spodziewać, że jej córka wyjdzie za mąż za siostrzeńca żony przedwojennego komunisty i pierwszego po wyzwoleniu sekretarza Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej w Suwałkach, **Jana Tarasiewicza?...**

W okresie kształtowania się władzy ludowej na suwalszczyźnie szczególnie silne były nastroje przeciwne wszystkiemu co łączyło się z przedwojennym aparatem ucisku. Komuniści zawsze tu cieszyli się sympatią i szerokim poparciem, a Komunistyczna Partia Polski mimo represji policyjnych i procesów sądowych, należała do najsilniejszych w kraju. W jednym z pierwszych procesów suwalskich komunistów stanął przed sądem **Jan Tarasiewicz.** Sporządzony 30 października 1928 roku akt oskarżenia zarzucał mu, że **„w latach 1926—1928 w mieście Suwałki należał w charakterze czynnego członka do organizacji wywrotowej, zwanej Komunistyczną Partią Polski, mającej na celu obalenie drogą rewolucji istniejącego w Polsce ustroju państwowego".**

W uzasadnieniu aktu oskarżenia przeciwko Janowi Tarasiewiczowi, ówczesny prokurator napisał:

„W dniu 29 stycznia 1928 roku, około godziny 10 wieczorem, w parku „Arkadja" w mieście Suwałkach, na dróżce pomiędzy słupami elektrycznymi nr 412 i nr 413, wywieszona została na drutach płachta komunistyczna długości 81 cm, szerokości 50 cm, z czerwonego materiału, na którym wypisano atramentem dużymi literami zdania: „Cześć poległym bojownikom o wolność proletariatu. Precz z dyktaturą Piłsudskiego" Doraźnie sprawców wywieszenia tego transparentu komunistycznego ujawnić się nie udało. Wszczęte z tego powodu śledztwo wstępne ustaliło, że akcja komunistyczna w mieście Suwałkach w tegorocznym okresie przedwyborczym do Sejmu i Senatu podjęta została pomiędzy robotnikami przez Jana Tarasiewicza, krawca zamieszkałego przy ul. Kalwaryjskiej 23, od dawna podejrzanego o udział w wywieszaniu płacht i kolportażu bibuły komunistycznej"...

21 lutego 1929 roku Sąd Okręgowy w Suwałkach skazał 29-letniego Jana Tarasiewicza **„na zamknięcie w więzieniu zastępującym dom poprawy na przeciąg jednego roku i miesięcy sześciu".**

Roman Łankowski, najstarszy z trojga dzieci Anny, siostry żony Jana Tarasiewicza, nie musiał obawiać się zarzutu, że zawierając w piątek 13 września 1957 roku, związek małżeński z córką przedwojennego policjanta, Teresą Niecińską, popełnia mezalians ideologiczny. Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie.

Pani Teresa zachowała, nieco już wyblakłe zaświadczenie Komendy Wojewódzkiej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" wystawione 14 sierpnia 1952 roku. Stwierdza, że **„junaczka Niecińska Teresa została nagrodzona odznaką Planu 6-letniego i niniejsze zaświadczenie uprawnia do noszenia wymienionej odznaki".** Przechowuje też pismo Ministerstwa Państwowych Gospodarstw Rolnych wystawione 3 listopada 1952 roku. Zawiadamia ono o nadaniu **„ob. Niecińskiej Teresie Odznaki Przodownika Pracy".**

— To za naszą pracę na Żuławach — objaśnia pani Teresa. — **Pamięta pan: — Hej, wy konie, rumaki stalowe...? Z tą piosenką maszerowaliśmy na pola koło Niedźwiedziówki. Konkurowały z nami brygady z Krakowa, Rzeszowa, Warszawy, ale my zajęliśmy pierwsze miejsce we współzawodnictwie. Przezywali nas „milczące traktory suwalskie". Bo rzeczywiście pracowaliśmy przy pieleniu jak maszyny. Gdy przyjechaliśmy chwasty sięgały pasa, a marchwi w ogóle nie było widać. Dzięki naszej pracy, po trzech tygodniach wyrosła na żyznej glebie żuławskiej nać na pół metra... Tylko nas dwoje, ja i Marek Kopiczko, z tej samej klasy, której wychowawcą był Ludwik Jaworski, zostaliśmy wyróżnieni odznakami Przodownika Pracy. „Na uroczyste wręczenie zaproszono nas do Białegostoku. Minister nam gratulował, a myśmy odpowiadali „ku chwale Ojczyzny!"...**

Absolwentkę liceum wychowankę Ludwika Jaworskiego, z nakazem pracy skierowano do szkoły w Szwajcarii. Była to szkoła jednoizbowa. Lekcje prowadziła jednocześnie dla czterech oddziałów. Dzieci przywykły do przychodzenia do szkoły tylko wówczas, gdy nie były potrzebne dorosłym do pomocy w gospodarstwie. O powszechnym obowiązku nauczania nikt nie słyszał. Nie było też „pekaesu", którym można by codziennie dojeżdżać 4,5 km z Suwałk do Szwajcarii. Trzeba było pieszo przemierzać tę odległość, czasem tylko trafiła się jakaś frumanka...

Chodziła od chałupy do chałupy, przekonywała rodziców, aby przysyłali dzieci do szkoły. Zdołała nawet zorganizować komitet rodzicielski. W połowie roku szkolnego, na konferencji nauczycielskiej w Jeleniewie, wyróżniona została za **„postawienie szkoły powszechnej w Szwajcarii na nogi".** Tak to określił inspektor powiatowy wręczając jej dyplom uznania.

Po wakacjach otrzymała polecenie podjęcia pracy w Starym Folwarku, jeszcze dalej, bo 10 km od Suwałk. Wynajęła pokoik u pani Hrynaszkiewicz. Gospodyni ją polubiła, nazywała „wiosenką", traktowała jak własną córkę...

Romka Łankowskiego poznała na zabawie w „ogólniaku" w Suwałkach. Był już po wojsku, pracował jako zastępca kierownika Powiatowego Domu Kultury. Po ślubie stosunkowo szybko dostali własne mieszkanie. Teresa przeniosła się do Szkoły Podstawowej nr 1 w Suwałkach. Namówiła męża, aby uzupełnił wykształcenie. W trzy lata po ślubie Roman Łankowski przeszedł do pracy w więziennictwie. Awansował na stanowisko kierownika działu penitencjarnego Zakładu Karnego w Suwałkach.

— Nie jestem tylko „mężem swojej żony" — powiedział mi. — **Mam własne sukcesy zawodowe i satysfakcje z nich płynące. Choć muszę przyznać, że Teresa przeciągnęła mnie na swoją stronę. Przecież prawie cała jej rodzina to pedagodzy. Proszę — najstarsza siostra Jadwiga wyszła za mąż za nauczyciela, młodsza Zosia — jest żoną dyrektora szkoły w Bartoszycach, brat Stanisław — został doktorem psychologii i wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. I to jeszcze nie wszyscy! Ojciec teściowej uczył matematyki w gimnazjum w Suwałkach, a z dziewięciorga cioć i wujców Teresy właściwie tylko Bolek jest rolnikiem i nigdy nie zajmował się nauczaniem...**

Może Ewa — najstarsza córka Łankowskich też będzie nauczycielką?... Synowie jeszcze mają czas na wybór zawodu. Jarek jest dopiero w ósmej klasie, a Mariusz w trzeciej klasie licealnej. Cała trójka jest dumna, że mamę wyróżniono „Orderem Uśmiechu".

Rozmowa z dyrektorem szkoły Podstawowej nr 1 w Suwałkach **Eugenią Mazalewską** utrzymana była w bardziej oficjalnym tonie.

— Koleżanka Łankowska — notowałem — **jest cenionym pedagogiem. Otrzymała Złoty Krzyż Zasługi, odznakę „Przyjaciel Dziecka", nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania II stopnia. Na posiedzeniach rady pedagogicznej potrafi swoim uśmiechem rozładować powstające napięcia. Jest lubiana również przez nauczycieli naszej szkoły. Obok funkcji zawodowych udziela się w pracach społecznych. Jest członkiem egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej w naszej szkole. Od września została mianowana zastępcą dyrektora i jej powierzyłam bezpośrednią współpracę z nauczycielami..**

Do portretu laureatki Orderu Uśmiechu trzeba dodać że nigdy jeszcze nie wyjeżdżała z Suwałk na dłużej.

— Nie ciągnie mnie w daleki świat — mówi. — **Gdzież tak pięknie szumią strumienie jak nasza Szeszupka? Gdzie można podziwiać zanikające jeziorka zwane półmiskami, pełne ptactwa wodnego? Gdzie jeszcze rosną tak wspaniałe sosny, że trudno objąć ich pień?...**

DO SUWAŁK PRZEZ SEJNY

Brak miejsca w suwalskim hotelu wydał się przeciwnością losu. Wszystkie pokoje zarezerwowano dla uczestników Parady Orkiestr Wojskowych, którą w województwie suwalskim urządził Zarząd Polityczny Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Recepcjonistka była bezradna.

Miałem jednak telefon dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury, dr **Janusza K[illegible]ła**, który przed rokiem był gościem Wydawnictwa Łódzkiego i zadeklarował swoją pomoc. Państwo Kopciałowie, dowiedziawszy się, że przyjechałem z żoną, zaprosili nas natychmiast do swego domu i ani chcieli słyszeć byśmy gdzie indziej szukali noclegu. I tak by pewnie się stało, gdyby dyr. Kopciał jeszcze tego dnia nie miał do załatwienia sprawy służbowej w Wigrach. Umówił się z Andrzejem Strumiłło, komisarzem artystycznym suwalskiego pleneru „Sztuka i środowisko", odbywającego się już po raz drugi w oryginalnej scenerii zabytkowych eremów pokamedulskiego klasztoru. Zgodził się więc, że wracając nałożymy trochę drogi i pojedziemy do Sejn zapytać o miejsce w tamtejszym hotelu.

— Mamy zjazd geodetów — powiedziała recepcjonistka. Ale nasz opiekun nie dał za wygraną. — **Może przez pierwszego sekretarza uda się coś załatwić** — powiedział podnosząc słuchawkę aparatu telefonicznego, takiego jeszcze „na korbelkę". Poprosił o połączenie z mieszkaniem tow. Żdanuka. — **Zaraz przyjdzie, znamy się, pracowaliśmy razem w komitecie powiatowym** — mówił dr Kopciał, gdy czekaliśmy przed hotelem.

— Nie mają gdzie spać? — już z daleka wołał sekretarz, z taką bezpośredniością jak byśmy znali się od lat. — **Skoro nie chcą was w hotelu przenocować dam pokój gościnny w komitecie** — powiedział ledwie zdążyliśmy się sobie przedstawić. — **Nie zapraszam do domu** — dodał — **bo mam gości. Przyjechały koleżanki żony, aktywistki ZSMP, z Zarządu Wojewódzkiego i jutro o czwartej rano jedziemy na grzyby...**

W ten sposób zostaliśmy gośćmi I sekretarza KM-G PZPR w Sejnach, mgr inż. **Aleksandra Żdanuka.**

Jeszcze tego samego wieczoru, nie bez dumy, pokazał nam salę konferencyjną, gdzie w niedzielę 5 marca 1978 r. odbyło się spotkanie sejneńskiego aktywu partyjnego z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem.

— Na tym krześle siedział tow. Gierek — wskazał trzecie od lewej za stołem prezydialnym.

SEJNY NIE LEŻĄ NA KOŃCU ŚWIATA

O wizycie I sekretarza KC PZPR uprzedzono tow. Żdanuka, ale zobowiązano do całkowitej tajemnicy. Nawet żonie nie mógł powiedzieć. Gdy ubierał świąteczny garnitur zauważyła:

— Co tak się stroisz jakby towarzysz Gierek miał przyjechać?...

Nic nie odpowiedział. Wolał nie ryzykować. Miał już nauczkę gdy z prezesem „Samopomocy Chłopskiej" typowali kelnerkę, która w razie ważniejszej wizyty w komitecie mogłaby podawać herbatę i kawę. Prezes nie dopytywał się o jaką wizytę idzie, ale egzaminowana kelnerka wreszcie nie wytrzymała:

— Co mnie tak próbujecie, jakbym Gierkowi miała podawać?

— Może przyjdzie i towarzyszowi Gierkowi podawać — odparł całkiem obojętnie, a dziewczyna z wrażenia upuściła na podłogę tacę z dwunastoma filiżankami.

Wiadomość o przybyciu I sekretarza KC PZPR do Sejn rozeszła się lotem

KTOKOLWIEK TU ZAWITA...

Kończę ten reportaż zajadając się pysznym sękaczem. Kiedy byłem w Suwałkach Aleksander Żdanuk, zawiózł moją żonę Zosię, do Pawłówki, gdzie **Helena Żynda** od kilkudziesięciu lat piecze najlepsze na suwalszczyźnie sękacze.

— Dobry, bo małowy — orzekł Żdanuk.

Zosia przywiozła również przepis: 1 kg mąki tortowej, 1 kg cukru, 1 kg masła, 1 litr śmietany, 50 jaj; wszystko dokładnie wymieszać, ubić, przydać trochę zapachów, a następnie piec na otwartym ogniu, stopniowo oblewając ciastem drąg obracający się w pozycji horyzontalnej.

Jeśli Zosia taki drąg gdzieś znajdzie, zaraz przystąpi do pieczenia placka, który też ma być wysoki na pół metra. Tylko, skąd weźmie... wolny ogień?

Ma rację nie znany piewca ziemi suwalskiej, że „ktokolwiek tu zawita po raz pierwszy, wróci tu po raz drugi i trzeci. Tak wielki, nieprzemijający urok i wdzięk ma ten kawałek Polski"...

Gdy z nowoczesnego dworca sofijskiego skierujemy się do centrum bułgarskiej stolicy, uderzy nas wielka rozmaitość zabudowy i form architektonicznych. Na tle typowych, peryferyjnych masywów osiedlowych, jakie spotkać można wszędzie, stoją — często przycupnięte w sadach — jednopiętrowe, białe domki — pod czerwoną, falistą dachówką. To Bułgaria dnia wczorajszego. W miarę zagłębiania się w zwarte ulice miasta, obejmuje nas zewsząd architektura XIX wieku, by nagle zaskoczyć strzelistymi minaretami meczetu Czernata Dżamija. To symbol zamierzchłej przeszłości, choć dopiero sto lat mija od chwili zrzucenia jarzma tureckiego.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

BUŁGARIA TRZYNASTU WIEKÓW

Jeśli się ma przy sobie przewodnika lub kompetentną osobę towarzyszącą, to na pewno jeszcze z okien pojazdu pokaże nam cerkiew św. Jerzego, zbudowaną na zrębach dawnej świątyni pogańskiej, opowie o odkryciu murów obronnych rzymskiej Serdiki, wskaże przebieg antycznych ulic i doda, że sieć komunikacyjna współczesnej Sofii pokrywa się tu z przebiegiem arterii owego miasta rzymskiego. I już rozumiecie, że spogląda na was dwadzieścia wieków historii.

Lecz nie koniec na tym. Najbliższych dni, a może i godzin musicie spostrzec sylwetkę cerkwi ze złocistymi kopułami, jakby żywcem przeniesionej z Moskwy czy Kijowa. To cerkiew św. Aleksandra Newskiego, zbudowana dla uczczenia zwycięstwa nad Turkami w 1878 roku. W podziemiach cerkwi znajdziecie największą kolekcję ikon bułgarskich, która was przeniesie w sam środek Bułgarskiego Odrodzenia Narodowego. Ale na niższym pokładzie ujrzycie grobowiec tracki (kopia rzeczywistego grobowca spod Kazanłyku), a to już jest trzydzieści wieków kultury tego miasta i kraju.

Serdika, po bułgarsku Sredec... Pytacie siebie: dlaczego Sredec, czyli środek? Wystarczy przyłożyć linijkę do mapy Bałkanów, by się przekonać, że Sofia leży na jednakowej odległości zarówno od Aten nad Morzem Egejskim, jak Spoleto nad Adriatykiem i Konstantynopolem u wrót Morza Czarnego. Co więcej, taka sama odległość dzieli Serdikę od twierdz naddunajskich w Panonii i ujścia Dunaju, a także od górskiej krawędzi Siedmiogrodu, dokąd sięgała granica Imperium Rzymskiego. Był to więc centralny punkt na Bałkanach, w którym krzyżowały się drogi strategiczne rzymskich legionów.

W istocie ziemie bułgarskie były kolebką tysiącletniej kultury, zanim pojawili się na nich Bułgarzy. Ojczyznę błękitnookich Traków i Mezów najeżdżali płowowłosi Scytowie, później kraj opanowali Grecy i Rzymianie, Bizantyńczycy i Awarowie, a wreszcie Słowianie i Protobułgarzy. Na terenie Bułgarii stwierdzono ślady 43 narodów i plemion, które już to zamieszkiwały tu od najdawniejszych czasów, już to znalazły się w drodze przemieszczeń plemiennych. Każdy metr ziemi jest niemym świadkiem bogatych wydarzeń historycznych, toteż od kilkudziesięciu lat Bułgaria stanowi jeden z najbardziej atrakcyjnych krajów pod względem odkryć archeologicznych.

Do chwili obecnej archeolodzy zarejestrowali w Bułgarii blisko 400 cmentarzysk prehistorycznych i 10.500 nekropoli, czyli wymarłych osad ludzkich, 4000 wykopalisk architektonicznych z czasów starożytnych i wczesnego średniowiecza: osad obronnych, systemów fortyfikacyjnych, strażnic nadgranicznych, dróg i mostów itp. Rejestr zabytków obejmuje także 7750 domów z epoki Odrodzenia Bułgarskiego (XVIII i XIX w.), ponad 150 średniowiecznych monastyrów, cerkwi i kościołów, wież meiszkalnych i zegarowych tudzież budynków rzemieślniczo-handlowych, zwłaszcza z XIX wieku. W 200 bułgarskich muzeach i 400 pomniejszych zbiorach znajduje się ponad 3 miliony eksponatów, które w 1973 roku obejrzało blisko 12 milionów osób. W 1969 roku Zgromadzenie Narodowe Ludowej Republiki Bułgarii uchwaliło specjalną ustawę o muzeach i o ochronie zabytków, w jej ramach tworzy się sieć muzeów i galerii sztuki, podnosi się z ruin zniszczone budowle, renowuje kwartały staromiejskie (np. w Płowdiwie), z całych miast tworzy się jednostki muzealne: Koprisztica, Batak itp.

Bułgaria jest najstarszym państwem słowiańskim [1]), które jako pierwsze weszło w obręb kultury śródziemnomorskiej i pierwsze (obok Moraw) przyjęło chrześcijaństwo, wyprzedzając o wiek przeszło Polskę i Ruś, a także Czechy i Chorwację. Ziemie te były kolebką literackiego języka słowiańskiego, stąd bowiem dwaj apostołowie Słowiańszczyzny, święci Cyryl (Konstanty) i Metody, rozpoczęli swoją działalność misyjną, tworząc w oparciu o grekę odrębny alfabet, w którym po dzień dzisiejszy rozwija się piśmiennictwo wschodniej i południowo-wschodniej Słowiańszczyzny.

Z drugiej strony naród bułgarski należy do najtragiczniejszych narodów Słowiańszczyzny, gdyż połowę swego historycznego istnienia spędził pod obcym panowaniem, z którego zwłaszcza 500 lat trwająca niewola turecka wycisnęła swe krwawe piętno (1396—1878). Ta polityczna i kulturalna niewola pozbawiła Bułgarię (na równi zresztą z innymi krajami bałkańskimi) możliwości uczestnictwa w wielkich prądach umysłowych i kulturalnych wieku Odrodzenia, Oświecenia i Romantyzmu. W czasie gdy Polska przeżywała okres świetnego rozwoju politycznego i kulturalnego, wydając ludzkości Wita Stwosza, Mikołaja Kopernika, Fryderyka Chopina i Cypriana Norwida, Bułgarzy krwawili w walkach z bisurmanem. A przecież we wczesnym średniowieczu, w wiekach IX i X, a potem jeszcze w wieku XIII, było to potężne państwo, obejmujące swą władzą i wpływami znaczną część Półwyspu Bałkańskiego: od Siedmiogrodu i Seretu po Morze Egejskie, Czarne i Adriatyk, co stanowiło obszar około 500 tys. km kw. Szczególnie za cara Symeona w pierwszej połowie X wieku, a później za Kołojana i Asena II na początku XIII wieku, stanowiła Bułgaria czynnik decydujący na Bałkanach, z którym musiało się liczyć istniejące ówcześnie Cesarstwo Bizantyńskie, zanim nie padło — podobnie jak Bułgaria i całe Bałkany — pod ciosami Turków osmańskich.

Bułgaria nowożytna później od innych państw bałkańskich uzyskała niepodległość. Czarnogóra (Montenegro) cieszyła się nią już od końca XVIII wieku, Serbia i Grecja wyzwoliły się spod jarzma tureckiego w 1830 i 1832 roku, a więc bez mała pół wieku wcześniej. Nawet Rumunia (utworzona z łączenia księstw Mołdawskiego i Wołoskiego) uzyskała byt narodowy po wojnie krymskiej w 1856 roku. Tylko Albania i Macedonia uwolniły się z niewoli tureckiej później, po wojnie bałkańskiej 1912 roku. Bułgaria jest więc w stosunku do innych państw słowiańskich w tej liczbie i Polski, młodsza jako państwo nowożytne, ale równocześnie o wiele starsza ze względu na swoje parantele ze światem starożytnym.

Warto zaznaczyć, że awans polityczny Bułgarii został poprzedzony jej Odrodzeniem Narodowym, za którego początek przyjmuje się moment napisania w 1762 roku „Historii słowiano-bułgarskiej" przez mnicha Paisija Chilendarskiego. Pierwsza bułgarska szkoła narodowa powstała w 1835 roku w Gabrowie, a więc przeszło 40 lat przed odzyskaniem niepodległości.

Dzisiejsza Bułgaria liczy około 111 tys. km kw. i 8 milionów 706 tysięcy mieszkańców, w 88 procentach narodowości bułgarskiej. Zajmuje ona większą część wschodniej połowy Półwyspu Bałkańskiego i jest w kierunku równoleżnikowym przecięta pasmem gór Bałkanu (po bułgarsku: Stara Planina), obejmuje na południowym zachodzie masywy górskie: Rodopów i Pirynu. Rzeka narodowa Bułgarii, Marica, wpada do Morza Egejskiego, już poza terytorium Bułgarii, jako rzeka graniczna między Grecją i Turcją. Za granicą Bułgaria była do II wojny światowej znana głównie z przepięknych uzdrowisk morskich w Warnie oraz z największej w świecie uprawy róż. Do 1944 roku gospodarkę tego kraju charakteryzowało zacofane rolnictwo i chałupniczo-rękodzielniczy przemysł. W ciągu ostatniego trzydziestolecia, od chwili wejścia Bułgarii na drogę socjalizmu, nastąpił ogromny rozwój gospodarczy kraju. Dziesięciokrotnie wzrosła produkcja globalna, a piętnastokrotnie podniósł się dochód narodowy. Dzięki dużym zasobom surowców rolnych i bogatej tradycji wysoką rangę osiągnął przemysł spożywczy, na drugim miejscu włókienniczy. Lecz w miarę rozwoju kraju na czoło gospodarki wysunął się zdecydowanie przemysł ciężki: maszynowy, elektrotechniczny i chemiczny.

Obok tego w ostatnich 15 latach rozwinęła się turystyka zagraniczna. Podczas kiedy w 1960 roku Bułgarię odwiedziło niespełna 200 tys. turystów, to w 1975 roku liczba ta wzrosła dwudziestokrotnie i osiągnęła około 4 milionów. W związku z ogromnym napływem gości zagranicznych całe 378-kilometrowej długości wybrzeże Morza Czarnego przybrało postać wielkiego kąpieliska i zdobyło w świecie nazwę „wschodniej Riwiery". Ten potężny rozwój turystyki zagranicznej przyczynił się do odkrycia „nowej" Bułgarii, zachowanej w bogatej warstwie archeologicznej. Dziś te bogactwa stanowią nieodłączny element kultury bułgarskiej, który — jak mówi jeden z pisarzy — wkomponował się na wzór pejzażu w psychikę i kulturę narodu bułgarskiego.

To co w zakresie kultury materialnej przechowała przez wieki i tysiąclecia ziemia bułgarska, niespożytą siłę i atrakcyjność kultury duchowej Bułgarów przekazała poprzez pokolenia bułgarską „pieśń gminna", którą w czasach niewoli rozpowszechniali ślepi pieśniarze i opowiadacze. W czasie nieobecności kultury bułgarskiej w oficjalnym nurcie europejskim, znajdowała ona swój ideowy i artystyczny wyraz w słownej twórczości poetyckiej. Według niepełnych obliczeń zebrano dotychczas ponad sto tysięcy bułgarskich pieśni, legend i bajek, a także przekazów historycznych, przechowanych w pamięci ludu. Do dziś można spotkać Bułgarki, które potrafią zaśpiewać kilkaset pieśni, jak np. Elena Jankowa, matka Christo Botewa, która znała 333 pieśni swego ludu. Jedna z folklorystek, Elena Ognianowa, w ciągu 25 lat swej pracy zapisała 8000 pieśni ludowych, 600 baśni i bajek, 300 zagadek oraz 22 tysiące przysłów i przypowieści ludowych. Profesor Wasil Stoin zarejestrował 50 tys. melodii ludowych, z czego 33 tys. ukazało się drukiem.

W tym słownym dziele poetyckim narodu bułgarskiego znajdowali wzorce i natchnienie pierwsi poeci i pisarze — jeszcze w okresie niewoli tureckiej — Christo Botew, Luben Karawełow, Petko Sławejkow. Tą samą drogą poszli po wyzwoleniu Iwan Wazow, Penczo Sławejkow, Peto Jaworow i wielu innych. Jest ona i nadal poważnym czynnikiem narodowego rozwoju literatury i muzyki, teatru i plastyki bułgarskiej....

Wielkość przeobrażeń ekonomiczno-społecznych i kulturalnych w Bułgarii można poznać ze zmian w strukturze osiedli, ich rozbudowie i wyposażeniu. Poczynając od starożytności wymienić możemy na terenie dzisiejszej Bułgarii pięć grup miast, pełniących właściwe sobie funkcje kulturalne, ekonomiczne i administracyjne. Do najstarszych, pochodzących z okresu trackiego należą: Płowdiw, ówczesny Eumolpias, oraz Sofia — Serdica (Tradica). W związku z ekspansją handlowo cywilizacyjną Greków powstało szereg miast nadmorskich, jak Warna — Odessos, Neseber — Messembria, Pomorje — Anchialos, Sozopol — Apollonia i inne. Grupa tych miast sięga VI stulecia przed naszą erą. W pierwszych wiekach naszej ery powstały liczne osady obronne Rzymian, zwłaszcza wzdłuż Dunaju, który przez wiele wieków stanowił granicę zasięgu kultury śródziemnomorskiej w kierunku północnym. Do miast tych należą: Widyń — Bononiae, Swisztow — Novae, Russe — Sexaginta Prista, Silistra — Durostorum, Nikjup — Nikopolis ad Istrum, Stara Zagora — Augusta Trajana itd.

Kolonizacja późniejsza słowiańsko-bułgarska sięgała terenów wyżej położonych. Wyparta z kolei na zbocza górskie przez fale najazdów tureckich oraz w okresie orężnego władania Turków. Tylko we wsiach można było spotkać murowane, głęboko w ziemię wpuszczone cerkwie obok charakterystycznych chat o czterospadowych dachach. Dopiero w okresie bułgarskiego Odrodzenia Narodowego pojawiły się budowle znamionujące ocknięcie się ducha Bułgarów z wielowiekowego letargu. W chwili wyzwolenia Bułgarii pozostawili Turcy w krajobrazie miast najbardziej widomy i jedyny zresztą ślad swej obecności — to meczety ze strzelistymi wieżami, karawan seraje oraz twierdze.

Miasta spełniały funkcje administracyjno-wojskowe i handlowe oraz rzemieślniczo-usługowe o lokalnym znaczeniu dla najbliższej okolicy, wyjątkowo tylko w szerszym zasięgu, jak np. kożuchy i futra gabrowskie. Funkcje te, z wyjątkiem Sofii i Płowdiwu, nie uległy zasadniczym zmianom także po wyzwoleniu. W okresie kapitalistycznym jedynie Pernik zdołał przekształcić się w znaczniejszy ośrodek przemysłowy (hutnictwo). W niektórych miastach występowały objawy regresu, gdyż nie mogły sprostać konkurencji z importowanymi wyrobami przemysłowymi. W roku 1934 dwie trzecie miast bułgarskich liczyło powyżej 10 tys. tzw. miast rolniczych. W istocie cały kraj był pokryty siołami.

Radykalne zmiany nastąpiły dopiero w ostatnim trzydziestoleciu, w warunkach ustroju socjalistycznego. Objęły one zarówno sprawę rozmieszczenia ludności, jak i fizjognomii miast, nowej ich przebudowy i rozbudowy. Zaszły też zmiany w osiedlach wiejskich w związku z kolektywizacją i rozwojem przemysłu. Zmniejszyło się o 1/3 zaludnienie wsi rozrzuconych. Natomiast liczne osiedla wiejskie typu zwartego, które wprawdzie utraciły 13,8 proc. ludności na rzecz większych aglomeracji, jednak rozwinęły i u siebie funkcje miastotwórcze. Do 1975 roku podwoiła się ilość miast w Bułgarii, ze 105 do 217, a odsetek ludności miejskiej wzrósł z blisko 25 proc. do 54,8 proc. Główną rolę odegrał tu przemysł, przeobrażając stare miasta z Sofią i Płowdiwem i przyczyniając się do powstania zupełnie nowych organizmów miejskich, jak Dimitrowgrad, Rudozem, Madan i inne, głównie w tzw. aglomeracji trackiej i rodopskiej. Rozwinęły się również miasta wokół nowych węzłów kolejowych, jak Gara Karpiczan, Gara Kostenec itd. [2]).

Wieś bułgarska w warunkach nowego ustroju rolnego szybko zrównuje się z miastem, a pod niektórymi względami nawet góruje nad nim. Zbliżenie życia tych dwóch podstawowych grup ludności w Bułgarii stało się głównym założeniem polityki socjalnej państwa. Plenum kwietniowe KC BPK z 1972 roku podjęło szereg uchwał, w wyniku których dochody uspółdzielczonych chłopów wzrastały w tempie wyprzedzającym wzrost dochodów robotników i pracowników umysłowych. Jednym z ostatnich przedsięwzięć było zrównanie chłopów-spółdzielców z robotnikami i urzędnikami co do pobierania zasiłków rodzinnnych, stosukowo wysokich w Bułgarii z uwagi na mały przyrost naturalny.

Osiedla wiejskie przeżywają obecnie renesans swej rekonstrukcji i rozbudowy. Zadziwiająco szybki rozwój budownictwa wiejskiego stanowi jedno z najważniejszych zjawisk, obrazujących istotę dokonywanych przeobrażeń. Dawniej chłop ciułał pieniądze na zakup gruntu, obecnie gdy grunt ma dany, może wszystkie wpływy obrócić na budowę i wyposażenie domu. Do 1975 roku, po 30 latach władzy ludowej, wieś bułgarska została w 75 procentach zabudowana nowymi, murowanymi i pokrytymi dachówką domami. Nie mniej ważny akcent w krajobrazie wsi bułgarskiej stanowią zespoły budynków gospodarskich, administracyjnych i kulturalno-bytowych, należące do kompleksów rolniczo-przemysłowych lub gospodarstw spółdzielczych i państwowych. Walczą one o prymat z dawnymi ośrodkami wiejskimi, jak cerkwie, szynki i domy bogatych czorbadżich. Przy sposobności warto zaznaczyć, że 95 proc. wsi zostało zelektryfikowanych, a ponad 60 proc. ma instalacje wodociągowe. W roku 1944, a więc na początku przebudowy, liczby te wynosiły 13 i 17 proc.

Aby zdać sobie sprawę z rozmiarów eksplozji gospodarczej Bułgarii, należy z konieczności sięgnąć do zestawień statystycznych [3]). Otóż w ciągu ubiegłego 30-lecia socjalistycznego rozwoju środki produkcji wzrosły w Bułgarii 123-krotnie, a środki konsumpcji 25-krotnie; większość dochodu narodowego pochodzi z przemysłu. W strukturze przemysłowej kraju na pierwszym miejscu stoi produkcja maszyn i obróbka metali, co jak wiadomo jest stałym dążeniem ekonomiki każdego kraju, jakkolwiek i tradycyjne gałęzie bułgarskiej wytwórczości — przemysł spożywczy, tekstylny i tytoniowy — rozwijają się także szybko.

W zawrotnym tempie wzrasta w Bułgarii produkcja energii elektrycznej. Osiągnęła ona w chwili obecnej 28,8 miliarda kWh, wobec 266 mln kWh w 1939 roku, to znaczy wzrosła blisko 110 razy. W kraju „słońca i róż" wytwarza się obecnie silniki spalinowe (46,3 tys. rocznie), silniki elektryczne (854 tys. w ciągu roku), obrabiarki, traktory, okręty, sprzęt budowlany, wagony, maszyny tkackie, motocykle itp. Bułgaria jest jednym z poważniejszych producentów elektrokarów (33,5 tys.), autokarów (ok. 8 tys. rocznie), a zwłaszcza podnośników elektrycznych (71,2 tys. rocznie), które stanowią jej specjalizację w ramach RWPG.

Bułgarski przemysł chemiczny wytwarza wszelkiego rodzaju artykuły chemiczne, farmaceutyczne, kosmetyczne. Produkcja kwasu siarczanego wynosi 561 ton. Szybko rozwija się produkcja materiałów budowlanych. Podczas gdy w 1939 roku wyprodukowano 225 tys. ton cementu, to obecnie produkuje się go w ilości 3,9 mln ton tj. blisko 18 razy więcej. Produkcja tkanin bawełnianych wzrosła z 34 mln metrów w 1939 roku do 336 mln metrów obecnie.

Równie szybkie tempo rozwoju przemysłowego zakłada się także w przyszłości, przy czym uwaga kierownictwa partii i państwa kieruje się na rozwój energetyki i elektroniki, budowy maszyn i przemysłu chemicznego.

Cerkiew — pomnik Aleksandra Newskiego w Sofii. *Foto: Autora*

Fragment książki pod tymże tytułem, która ukaże się nakładem „Naszej Księgarni".

[1]) Wcześniej powstało państwo słowiańskie Samona, które jednak po jego śmierci upadło.

[2]) Gara = dworzec kolejowy.

[3]) Dane liczbowe wg książki Wasyla Bajewa „Licom k. Bolgarow", Sofia, 1975.

DRUGIEJ ROCZNICY NIE BĘDZIE

Najnowsza powieść Kazimierza Koźniewskiego wcale niełatwo obdarzyć etykietką. Przemieszały się w niej bowiem elementy prozy obyczajowej, neoprodukcyjnej, politycznej. W ten sposób Koźniewski usiłuje niejako zaproponować nowy typ współczesnej powieści polskiej, która łączyłaby w sobie sprawy przedstawione w powieściach najczęściej odrębnie: realizowałaby zamówienie na tematykę pracy, ubarwiając ją obserwacjami obyczajowych przemian i ożywiając — od czasu do czasu — politycznymi refleksjami. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany — Koźniewski nie proponuje w miejsce starych schematów schematu nowego, usiłuje raczej dowieść, że książka traktująca o współczesności i podejmująca niektóre aspekty społecznego czy instytucjonalnego zamówienia nie musi być wcale nudna, że wiele zależy zarówno od sposobu stawiania problemów, jak i sprawności pióra. Koźniewski pokazuje, iż książka taka powinna być, przy całej złożoności problematyki, napisana lekko (może zresztą nie najlepsze to określenie, krytyk traktujący swe obowiązki niezwykle dostojnie użyłby w tym miejscu sformułowania innego, na przykład książka łatwa w odbiorze, wykorzystująca atut przystępności, wykorzystująca możliwości, jakie stwarza sztuka pisania wówczas, gdy ktoś chce mówić o wszystkim w sposób zrozumiały, prosty, lecz i intrygujący zarazem).

No i ma kłopot recenzent bo po takim wstępie nie może już nie udzielić odpowiedzi na pytanie, które musi nasunąć się w tym momencie: czy autorowi „Rocznicy ślubu" powiódł się wspomniany zamiar? Odpowiem też od razu a potem postaram się umotywować własne stanowisko. Otóż Kazimierzowi Koźniewskiemu po części tylko udało się stworzyć powieść, w której bogactwo spraw można było przedstawić w sposób nie nużący czytelnika, a przy tym niepowierzchowny. Okazało się bowiem, że nawet autor tak doświadczony, sprawny i przeżywający drugą czy trzecią młodość pisarską, nie był w stanie przezwyciężyć pewnych prawidłowości. Za przystępność płaci się na ogół brakiem pogłębienia niektórych spraw, zdarzeń, postaci. A przecież nie od każdego czytelnika można oczekiwać, że sygnał tylko, aluzyjnie zarysowana sytuacja wyzwoli w nim odpowiednie skojarzenie. Nie każdy czytelnik dysponuje wystarczająco bogatym doświadczeniem czy wystarczająco bogatą wiedzą, by współczesność rozumieć poprzez siatkę aluzji bądź poprzez serwis wiadomości zaczerpniętych niemalże z prasy codziennej. Rola literatury współczesnej na tym ma właśnie polegać by pojmowanie współczesności pogłębiać, stwarzać system odniesień wnikliwych, by nie zawierzać zbytnio domyślności czytelnika. Piszę to z tym większym przekonaniem, iż — prawem przypadku — jestem rówieśnikiem bohatera „Rocznicy ślubu" i większość spraw, które dla autora są przede wszystkim fikcją literacką znam z autopsji.

Inżynier Andrzej Surowoda cierpi na pewien kompleks — „ciągle nie potrafi przystosować się do swej dorosłości (...). Obsesyjnie ustala zawsze daty urodzin swoich znajomych, a niekiedy i nieznajomych czymś się publicznie zalecających — porównuje się z rokiem urodzin własnych i ciągle mu się zdaje, że on jest jakoś młodszy, i nie jest pewny czy on by sprostał obowiązkom nakładanym na innych jego rówieśników." Ten to kompleks niedorosłości zaważył w jakiejś mierze na powieści Kazimierza Koźniewskiego.

Najciekawiej wypadł w niej wątek neoprodukcyjny. Być może dlatego, że różnorakie konflikty związane najpierw z badaniem, a następnie wprowadzaniem do produkcji nowej, lepszej, wydajniejszej technologii, przedstawił pisarz możliwie dokładnie, wnikliwie, wieloaspektowo. Ukazał zróżnicowanie stanowisk: projektodawców, ich opozycjonistów dyrekcji, przedstawicieli załogi. Odzwierciedlił w ten sposób mechanizmy życia zawodowego i społecznego, wygodnictwu i karierowiczostwu przeciwstawił zrozumienie interesu społecznego. Jak na prozie produkcyjnej przystało — zwycięża w końcu dobro społeczne i postęp techniczny, pozytywne propozycje zostają zastosowane w praktyce. Z klasycznego wzorca prozy produkcyjnej zachował Koźniewski rozstrzygające znaczenie zebrania całej załogi, na którym dyskutuje się konfliktowe sprawy. Na plus autora odnotować trzeba, iż jest to jeden z ciekawszych opisów zebrania fabrycznej załogi w całej naszej współczesnej literaturze.

Wątek obyczajowy zdaje się być w „Rocznicy ślubu" tylko dopełnieniem tematu pracy, jakkolwiek dostarcza tytułu, rozpoczyna i kończy powieść. Historia nieudanego, trwającego niewiele ponad rok małżeństwa, koresponduje w jakiś sposób z innymi utworami (nie tylko literackimi notabene, na przykład z wyświetlanym obecnie filmem Andrzeja Waidy „Bez znieczulenia"), poruszającymi coraz bardziej u nas jaskrawy problem rozwodów, nietrwałości rodziny, nieumiejętności pożycia mężczyzny i kobiety. Negatywne doświadczenie małżeńskie Andrzeja i Moniki pozwala na sformułowanie końcowego wniosku, z którego wynika, że „rozwody są sprawą moralną potrzebną i pożyteczną", z jednym jednakże zastrzeżeniem: „ludzie nie powinni się rozwodzić bo w tym jest przecież coś nieładnego, i jednak społecznie szkodliwego".

Polityki w książce Koźniewskiego jest najmniej. Ma ona ponadto charakter historyczny. Pisarz konfrontuje przede wszystkim życiorysy rodziców Andrzeja i Moniki (ojciec Andrzeja był żołnierzem Armii Krajowej, ojciec Moniki długo piastował wysokie funkcje partyjne).

„Rocznica ślubu" posiada również pewne ambicje moralizatorskie. Wyrażają się one pochwałą życiowej aktywności, pochwałą życia uczciwego, w którym „najważniejsza jest własna niezgoda na to, co jest złe albo nawet tylko źle się wydaje".

W sytuacji, gdy wciąż czekamy na wnikliwą powieść współczesną z prawdziwego zdarzenia, ambitną lecz i przeznaczoną dla szerokiego grona czytelników, książka Kazimierza Koźniewskiego pozostaje raczej zapowiedzią niż spełnieniem tego postulatu. Pozostawia niedosyt, rozbudza czytelniczy apetyt, wydaje się, że autor powie o współczesności znacznie więcej niźli to w ostatecznym rozrachunku z kart „Rocznicy ślubu" wynika. Tym bardziej, jeśli uwierzymy kto wie czy nie najważniejszym słowom Surowody: „Za każdą wypowiedzianą sylabą tkwią nasze kompleksy, strachy, mity, szaleństwa, pożądania i nerwy".

Małżeństwo Moniki i Andrzeja Surowodów przestało istnieć. Drugiej rocznicy ślubu nie będzie. Ale problematyka podjęta przez Kazimierza Koźniewskiego domaga się kontynuacji. Mamy więc nadzieję, iż w niedługim czasie poznamy ich dalsze, już oddzielne, losy.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

K. Koźniewski, Rocznica ślubu, Czytelnik, Warszawa 1978, 217 s., nakład 10 000 egz., cena 20 zł.

POD ARNHEM

Angielski film „O jeden most za daleko", w reżyserii Richarda Attenborougha, obrazuje dziewięć dramatycznych dni zamkniętych datami 17—26 września 1944 r., którym strategdzy nadali nazwę operacja „Market-Garden" a historia odnotowała jako bitwę pod Arnhem. Ta największa kombinowana operacja aliancka z udziałem wojsk powietrzno-desantowych i pancernych miała na celu błyskawiczne opanowanie przepraw mostowych na rzekach i kanałach środkowej Holandii, a tym samym umożliwienie siłom alianckim obejścia umocnień w północnych Niemczech i odcięcia wojsk niemieckich znajdujących się w zachodniej Holandii. Celem głównym, wedle planów marszałka Montgomery'ego, miało być skrócenie przebiegu działań wojennych dzięki atakowi najbliższą drogą na Zagłębie Ruhry i do Berlina oraz zakończenie wojny późną jesienią 1944 roku. W operacji „Market-Garden" u boku brytyjskich i amerykańskich dywizji, uczestniczyła także 1 Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem generała Stanisława Sosabowskiego. Ta gigantyczna operacja, w której straty aliantów wyniosły 12 tysięcy zabitych, zaginionych i rannych skończyła się połowicznym sukcesem — kluczowego mostu na Renie pod Arnhem nie zdobyto drogą w głąb Niemiec nie została otwarta.

Film Richarda Attenborougha, choć do końca nie odkrywa wszystkich politycznych kulisów planów bitwy pod Arnhem, posiada, w odczuciu wielu jego widzów, bezsporne walory filmu nie tylko rekonstruującego wydarzenia, ale dość brutalnie odsłaniającego oblicze historii. Film „O jeden most za daleko" w niezwykle popularnej serii wielkich widowisk wojennych zajmuje jedno z czołowych miejsc, dzięki temu właśnie, że spłacając wszystkie dla ich konwencji charakterystyczne zobowiązania, zdołał jednak w sposób dalece odbiegający od reguł rządzących wojenno-przygodowym widowiskiem poddać analizie i ocenie działania i postawy ludzi odpowiedzialnych za przebieg całej operacji. Richard Attenborough, przy pomocy świetnego scenarzysty, Williama Goldmana, autora „Maratończyka" i „Wszystkich ludzi prezydenta", zrealizował swój plan w oparciu o książkę Corneliusa Ryana. Jego pracy towarzyszył sztab konsultantów. W efekcie powstał film ukazujący z imienia i nazwiska autorów pomysłu i jego realizatorów oraz tysiące bezimiennych żołnierzy skazanych przez pychę, głupotę i nieudolność swych dowódców na katastrofę. Nie szczędzą autorzy filmu obrazów głupoty i ciasnoty horyzontów. Odsłaniają kulisy pośpiechu, niedokładnego i fałszowanego rozpoznania wroga, niedopracowania całej gigantycznej akcji. Rodzą te obrazy refleksje wprawiające dziś, z dystansu dziesiątek lat, przerażenie, dają też smutną lekcję historii. Są to bezsporne walory filmu Attenborougha.

Film ten każe się też zadumać nad kształtem tego typu historyczno-wojennych widowisk, ich celowością i artystyczną szansą. Celowości nie dyskutowałbym, bo po prostu kinematografia realizuje tu określone społeczne zamówienie, filmy tego typu cieszą się bowiem niesłabnącym powodzeniem. Temat wojny w dziejach powojennego, światowego kina ma swój udział ogromny. Niewątpliwie w każdym sensie najwybitniejsze dzieła jej poświęcone powstały w krajach naszego obozu. Widać zdecydowało o tym tragiczne doświadczenie naszych narodów. Kino zachodnie, poza dającymi się wymienić wyjątkami, i to z okresu wcześniejszego, preferuje typ wielkich widowisk, w których bądź dominuje próba rekonstrukcji słynnych bitew, bądź rodzaj filmu wojenno-przygodowego. Tłumaczyć to można zarówno wyżej wspomnianym doświadczeniom, jak i określonym naciskiem komercjalizmu.

Ten ostatni zaciążył też na filmie „O jeden most za daleko". Film ten jest w sensie realizatorskim dziełem znakomitym jego paradoksalnie słaba strona jest udział pleiady wielkich aktorów i gwiazd ekranu a więc to, co miało być siłą przyciągającą widza do kina. Tak zresztą się dzieje, ludzie ten film oglądają także ze względu na aktorów. Z drugiej zaś strony ich udział sprawia że autentyzm wydarzeń i postaci traci na swej sile oddziaływania — Connery jest Connerym, Redford — Redfordem, O'Neal — O'Nealem. Uczestnictwo w tego typu filmach jest swoistym testem aktorstwa i gwiazdorstwa. Laurence Olivier i Gene Hackman i w tym filmie przekroczyli konwencje gwiazdorstwa. Przypomnienie udziału Hackmana pozwala odnotować polonica tego filmu ujawnione w dwóch sekwencjach: dramatycznego desantu i przeprawy przez Ren oraz poprzez postać generała Stanisława Sosabowskiego, ukazanej przez autorów filmu i aktora nie tylko z szacunkiem, ale wyróżnionej przez prezentację jego postawy. W gronie znakomitych alianckich generałów jeden Sosabowski ujawnia pełną świadomość stratega i dowódcy i głębokie poczucie odpowiedzialności za losy żołnierzy. W porównaniu ze słynną „Bitwą o Anglię" film „O jeden most za daleko" przynosi znacznie więcej prawdy o udziale polskich oddziałów w walkach na Zachodzie.

Konkludując, nie sądzę, by w ramach konwencji gatunkowej, w jaką wpisany jest film Richarda Attenborougha, można pójść dalej. Jest ona na swój sposób doskonała. Ewentualnym polemistom odpowiem z góry, że „Żołnierze wolności" Ozierowa w mym odczuciu reprezentują jeszcze inną konwencję filmu wojennego.

EWA NURCZYŃSKA

„DAĆ DZIECKU KIJEK..."

Pierwsze wrażenie, już u progu galerii mocno szokuje. Reakcje widzów są różne, najczęściej zdroworozsądkowe: ludzie wycofują się w przeświadczeniu, że trafili nie tam gdzie chcieli. Koneserzy stwierdzają ze smutkiem że oto znów powraca w polskim wydaniu Arte Povera, „sztuka biedna" wykorzystująca dary Natury i odpadki. Większość dzieci i rodziców jest pewna że oglądają ślady nagłej ucieczki brygady niechlujnych stolarzy.

Chodzi o tzw. akcję (pochopnie chyba w katalogu nazwaną „wystawą z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka") urządzoną w Muzeum Sztuki przez Wiesława Karolaka pod nazwą „Formy znane — Formy Wyobrażone". Zasady są proste: z elementów danych ti desek dwóch wielkości oraz okorowanych kijów i patyków dzieci mają układać, burzyć i budować dowolne kompozycje, same lub w grupie. W pustych salach galerii walają się pod ścianami sterty owych elementów danych o pierwotnej tartacznej urodzie i naturalnym kolorze. Okazuje się że gdy mija pierwsze zaskoczenie u właściwych odbiorców akcji bierze górę naturalna spontaniczność i rozpoczyna się zabawa. Jedynie postronni i przymusowi obserwatorzy — rodzice — nie potrafią ukryć zdenerwowania, że stali się ofiarami kolejnej mistyfikacji.

Pomysł zaproponowania dzieciom indywidualnej czy grupowej zabawy za pomocą drewna, materiału najbliższego" człowiekowi, nie jest odkrywczy choć na naszym gruncie nowy. Pozwalające dowolnie się kształtować, ciepłe i nietoksyczne drewno było tworzywem zabawek i zabaw polecanych przez wybitnych teoretyków wychowania plastycznego. Również w przypadku łódzkiej inicjatywy przygotowanie elementów w surowej formie miało na celu odnowienie kontaktu dziecka z najbardziej zrozumiałym" materiałem i uwolnienie go od wszelkich skojarzeń przeszkadzających swobodnej grze wyobraźni — zwłaszcza od rzeczywistości maszynowej produkcji. To co naturalne powinno być zarazem najlepsze; okazało się jednak że nie zawsze i nie w każdych warunkach. Przesądził o tym niefortunny pomysł przeniesienia „naturalnego" w całkiem sztuczne i bynajmniej nie umowne ramy galeryjnej sali. Patyk znaleziony nad rzeką czy deska w lesie bywają zwykle doskonałymi rekwizytami zabawy — ale przestają nimi być w sztucznym oświetleniu, pośród nie najświeższej bieli ścian i na niezbyt czystej podłodze. Te elementy, prawie nieistotne w innej sytuacji również odegrały niedobrą rolę. Choćby nawet zabawa trwać miała krótko — nie zwalnia to od starannego przemyślenia co i gdzie podsuwamy dzieciom wychowanym na bajkach o Misiu Uszatku, Andersenie, lecz także filmach z porucznikiem Kojakiem. Może to być z powodzeniem deska lub kijek, pod warunkiem, że miejscem zabawy jest trawnik czy plaża.

W konkretnych warunkach akcji Wiesława Karolaka dzieci zaczynają wkrótce dostrzegać sztuczność sytuacji, w jaką je wprowadzono. Zwłaszcza te miejskie, dla których widok sterty patyków i desek znaczy to co znaczy: nieporządek i bałagan, aż nadto dobrze znany z setek placów budów, remontów czy choćby podwórkowych miejsc do zabawy. Monotonia „elementów danych" (znana również dziecku skądinąd) odbiera wkrótce chęć do zabawy. Chłopcy zamieniają patyki w niebezpieczne rekwizyty militarne a dziewczynki wykorzystują deski jako zastępcze siedzenia do „poplotkowania".

Całkiem możliwe, że dla psychologów i dydaktyków propozycja Karolaka będzie pretekstem dla innych wniosków. Z mojego niekompetentnego punktu widzenia galeria nie zamienia się w plac zabaw a sama zabawa szybko nudzi.

Jedno z najpoważniejszych w świecie muzeów sztuki współczesnej zaproponowało aranżację dziecinnej zabawy już po raz drugi młodemu artyście, który zaczyna być u nas ekspertem w tej niełatwej dyscyplinie. Prestiż firmy oferującej to danie (będący poza wszelką dyskusją) powinien być dostateczną gwarancją że mamy do czynienia ze zjawiskiem twórczym. Mistyfikacja prowadząca do zdenerwowania sporej części widzów polega właśnie na oprawieniu zabawy w namaszczoną muzealną ramę katalogu, plakatu, dokumentacji, naukowych opisów i slajdów. Mają one przekonać, że sprawa jest poważna, może nawet sprawdzona gdzieś w krajach „drugiego obszaru" i wreszcie przeniesiona do nas. Z pewnością nie wywołałaby zdziwienia na Biennale Młodych w Paryżu czy Dokumenta — Kassel (pokazach kontestująco-awangardowej sztuki) odpowiednia ilość desek i patyków jako narzędzi destrukcji i desakralizacji. Być może zabawy przy pomocy tak zgrzebnych rekwizytów doprowadziłyby do adekwatnego szoku dzieci pławiące się w techniczno-konsumpcyjnym przesycie. Z naszymi sprawa jest bardziej złożona. W sytuacji gdy zmuszeni jesteśmy importować klocki LEGO i pachnącą włoską plastelinę — wysunąłbym tezę że podpowiadany przez Wiesława Karolaka „powrót do natury" jest grubo przedwczesny.

Rzecz nie w tym, że podniesienie estetycznej jakości zwykłych klocków, układanek jest pilniejsze. Zabawki czy zabawy — obok wszelkich innych funkcji — są w oczach dzieci jakąś miniaturą czy odbiciem świata dorosłych. Jeśli spojrzeć na propozycję muzeum w kategoriach plastycznego wydarzenia — wszystko jest w porządku. Ale miało to być co innego. I skojarzenia przez te akcje wywoływane nie są najlepsze.

ANDRZEJ MAJER

JAN POWAŁA

POLITYKA MILITARNA RFN

Reaktywowanie sił zbrojnych RFN w 1955 r. oraz ich intensywny rozwój i modernizacja, które trwają do chwili obecnej są stałym czynnikiem zagrożenia pokoju w Europie i bezpieczeństwa państwa polskiego. Bundeswehra stanowi dziś jeden z ważnych instrumentów polityki zagranicznej rządu bońskiego i spełnia coraz większą rolę w umacnianiu pozycji RFN na arenie międzynarodowej.

W zakresie polityki militarnej RFN nie ma różnic między głównymi partiami politycznymi tego kraju. W tej sprawie istnieje zadziwiająca zgodność poglądów między koalicją rządową a opozycją. Jeżeli nawet pojawiają się pewne różnice zdań, to dotyczą one przeważnie spraw drugorzędnych lub sposobów osiągania przyjętych celów, które w aspekcie militarnym można sprowadzić do: nieustannego wzmacniania siły bojowej Bundeswehry; aktywnego uczestnictwa w Pakcie Północnoatlantyckim; ścisłej współpracy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi; dalszej integracji militarnej Europy Zachodniej.

U podstaw aktualnej polityki wojskowej RFN legła teza o tzw. „zagrożeniu ze Wschodu". „Zagrożenie" to w płaszczyźnie zewnętrznej ma wynikać z rzekomo nieszczerych pokojowych intencji państw Układu Warszawskiego i rzekomego wykorzystywania przez nie procesu odprężenia do własnych celów politycznych.

Konsekwencją polityki militarnej RFN jest zakrojona na szeroką skalę produkcja zbrojeniowa. Funkcję stymulatora tej produkcji, obok wielu różnych czynników spełnia przyjęta przez NATO strategia „elastycznego reagowania" która uwzględnia możliwość prowadzenia różnego charakteru wojen (z użyciem i bez użycia broni atomowej) i podkreśla wyjątkowo ważną rolę w tej wojnie Bundeswehry. Program zbrojeniowy Bundeswehry kładzie główny akcent na zwiększenie siły uderzeniowej ofensywności i mobilności. W efekcie jego realizacji we wszystkich rodzajach sił zbrojnych nastąpił wzrost i modernizacja sprzętu pancernego, rakietowego, obrony przeciwpancernej, samolotów, okrętów bojowych i wszelkiego uzbrojenia.

Koszty realizowanego programu zbrojeniowego są olbrzymie. Tylko w latach 1975 — 1978 wydysponowano z budżetu resortu obrony na prace naukowo-badawcze rozwojowe i produkcję nowych systemów uzbrojenia 38,8 mld DM. Niezależnie od tego przewiduje się podjęcie znacznych kwot z innych pozycji budżetu federalnego. Według szacunkowych obliczeń zamówienia wojskowe w RFN realizuje 350 wyspecjalizowanych zakładów produkcyjnych. Dane te dotyczą wyłącznie przedsiębiorstw realizujących produkcję finalną. Firmy poddostawcze liczone są w tysiącach. W bezpośredniej produkcji zbrojeniowej jest zatrudnionych około 200 tys. osób. Jednakże uwzględniając przemysł kooperacyjny i produkcję pomocniczą, zatrudnienie to szacuje się na 600 — 700 tys. osób. Stanowi to ponad 7 proc. ogółu zatrudnionych w przemyśle zachodnioniemieckim.

W wyniku realizowanego z całą konsekwencją programu zbrojeniowego, przemysł RFN tylko w latach 1956 — 1977 wyprodukował m. in.: 5800 czołgów „Leopard", 1565 samolotów bojowych i 1475 szkolno-treningowych, 790 śmigłowców wojskowych różnych typów, 4500 transporterów opancerzonych i 192 okręty wojenne.

Bundeswehra jest zaopatrywana w sprzęt wojskowy głównie produkcji RFN. Importem pokrywa się jedynie niewielki procent zapotrzebowania. Jednocześnie wzrasta eksport broni z RFN do różnych państw świata. Tylko w 1977 r. przyniósł on zyski koncernom zbrojeniowym w wysokości ok. 18 mld marek. W przemyśle zbrojeniowym zatrudnionych jest 13 proc. byłych wojskowych, a 42 byłych generałów zajmuje kierownicze stanowiska w radach nadzorczych i zarządach koncernów zbrojeniowych RFN. W miarę zwiększania się produkcji zbrojeniowej wzmacnia się żywotność kompleksu wojskowo-przemysłowego, stanowiącego główną opozycję wobec polityki odprężenia.

Z roku na rok wzrasta rola Bundeswehry w NATO. Militarna funkcja RFN w Pakcie Północnoatlantyckim wynika przede wszystkim z potencjału ludnościowego i wojskowego tego państwa oraz z istotnego znaczenia, jakie odgrywa jego terytorium w planach strategicznych NATO. W ogólnym bilansie sił zbrojnych NATO, Bundeswehra zajmuje pozycję dominującą. Na ogólną liczbę 24 dywizji wojsk lądowych, które są podporządkowane dowództwu NATO, aż 12 to związki taktyczne Bundeswehry. W innych rodzajach wojsk wkład Bundeswehry jest również bardzo wysoki i wynosi: w broni rakietowej — 42 proc., w broni pancernej — 45 proc., w artylerii — 47 proc., transporterach opancerzonych — 61 proc. Na terytorium RFN stacjonują wojska 7 państw NATO, których stan liczbowy wynosi ogółem 910 tys. żołnierzy. Z tej liczby na samą Bundeswehrę przypada 495 tys., co stanowi 54 proc.

Stosownie do wkładu militarnego RFN generalicja zachodnioniemiecka uzyskała wiele kluczowych stanowisk w kierowniczych organach NATO. W 1977 r. na czołowych stanowiskach sztabowych tego paktu pełniło służbę 30 generałów i 1700 wyższych oficerów Bundeswehry. Dla porównania warto przypomnieć, że w roku 1961 tylko 22 oficerów RFN pracowało w zintegrowanych sztabach Paktu Północnoatlantyckiego.

Aktualnie najwyższe stanowiska pełnią: gen. G. Schückle — jako zastępca naczelnego dowódcy wojsk NATO w Europie; gen. F. J. Schulze — dowódca sił lądowych w Europie środkowej, gen. K. von der Osten — szef sztabu Północnej Grupy Armii, gen. L. Renner — szef sztabu Centralnej Grupy Armii.

Koła wojskowe RFN wysuwają na forum Paktu Północnoatlantyckiego wiele propozycji i występują z inicjatywami dotyczącymi doskonalenia uzbrojenia, rozbudowy sił zbrojnych i pogłębiania integracji wojskowej. M. in. generalicja zachodnioniemiecka wysunęła w 1976 r. projekt przesunięcia kilkunastu jednostek pancernych NATO w pobliże NRD i Czechosłowacji. Również generałowie Bundeswehry domagają się od innych państw NATO, aby ich wzorem wzmacniały one zdolność bojową swych wojsk poprzez zwiększanie wydatków zbrojeniowych. Niezależnie od tego dowództwo Bundeswehry inicjuje konieczność wprowadzenia standaryzacji uzbrojenia, unifikacji programów szkoleniowych, koncepcji strategicznych, kooperacji produkcji sprzętu wojskowego, rozszerzenia kompetencji Europy i innych. Republika Federalna Niemiec poprzez swój przykład mobilizuje inne państwa do stałego zwiększania wydatków zbrojeniowych. Rząd zachodnioniemiecki zwiększa każdego roku

Foto: Archiwum

nakłady finansowe na cele militarne średnio o 10 proc. i pod tym względem zajmuje zdecydowanie pierwsze miejsce w Europie.

Rząd zachodnioniemiecki traktując Bundeswehrę jako ważny czynnik polityki zewnętrznej, poświęca dużo uwagi odpowiedniemu kształtowaniu jej oblicza politycznego. Siły zbrojne RFN od chwili powstania poddawane są intensywnej indoktrynacji ideologicznej. Obejmuje ona cały stan osobowy Bundeswehry, jednak ze względów zrozumiałych główny wysiłek koncentruje się na korpusie oficerskim i podoficerach zawodowych, którzy mają bezpośredni kontakt z podwładnymi.

Aktualnie w Bundeswehrze służy 37.521 oficerów, w tym 210 generałów i admirałów oraz 201.759 podoficerów. Skład socjalny kadry oficerskiej i podoficerskiej jest odzwierciedleniem klasowego charakteru państwa. Wszyscy generałowie i admirałowie, pełniący obecnie służbę wojskową w Bundeswehrze, wywodzą się z klas posiadających, a niemal 15 proc., to potomkowie rodzin junkierskich. W armii zachodnioniemieckiej nie ma ani jednego generała pochodzenia robotniczego. Także zdecydowana większość oficerów wywodzi się z rodzin drobnomieszczańskich, właścicieli przedsiębiorstw, rodzin wojskowych i fabrykantów.

Pochodzenie społeczne oficerów w znacznym stopniu rzutuje na ich poglądy polityczne. W latach 1956 — 1970 zdecydowanego poparcia udzielono chadecji. W ostatnich latach rząd zachodnioniemiecki zrobił wiele, aby pozyskać kadrę oficerską. Służą temu wysokie budżety wojskowe, modernizacja broni i sprzętu oraz polityka socjalna i stała troska o wzrost prestiżu korpusu oficerskiego. Te posunięcia wpłynęły na zmianę stosunku oficerów do koalicji SPD/FDP. W 1974 r. już tylko 40 proc. oficerów popierało CDU/CSU.

Znamienne jest, że wśród oficerów Bundeswehry tylko 41 proc. urodziło się na terytorium RFN. Reszta pochodzi spoza obszaru zachodnioniemieckiego. Jeśli chodzi o podoficerów to tylko 58 proc. pochodzi z terytorium RFN.

Decydujące znaczenie w kształtowaniu oblicza politycznego sił zbrojnych RFN ma system wychowania i urabiania ideologicznego żołnierzy. System ten opiera się głównie na antykomunistycznych i nacjonalistycznych treściach, którym nadaje się pozory obiektywnych informacji. W procesie wychowania politycznego żołnierzy Bundeswehry duży nacisk kładzie się na antypolską propagandę rewizjonistyczną. Sprzyja tego rodzaju działalności fakt, że w Bundeswehrze pełni służbę duży odsetek z rodzin przesiedleńców, a także ogólny klimat polityczny w RFN. Są w Bundeswehrze koszary, poligony i sale noszące imiona regionów i miast polskich; np. Koszary Pomorskie, Koszary Szczecińskie, Sala Poznańska w Koblencji, Poligon Gdański w Bergen-Hohne itd.

Na wszystkich mapach wojskowych RFN nadal ukazuje się Polskę w granicach z 1937 r. i stosuje się nazewnictwo niemieckie. Na terenach wojskowych ustawia się tablice wskazujące odległości do miast polskich. Często zawierają one również informacje mówiące ile dni trzeba walczyć, żeby je zdobyć. Równolegle z propagandą antykomunistyczną i antypolską rozwijana jest działalność propagująca zalety ustroju kapitalistycznego i jego instytucji. Ma to zapewnić możliwie pełną identyfikację żołnierzy z ustrojem RFN i ich gotowość do ponoszenia ofiar w imię celów zachodnioniemieckiej polityki.

Jednym z generalnych kierunków działalności polityczno-wychowawczej Bundeswehry jest nadal wychowanie żołnierzy na tradycjach militaryzmu niemieckiego. Prezydent RFN W. Scheel, przemawiając 5 kwietnia 1978 r. do wyższych dowódców Bundeswehry podczas Narady Dowódczej w Saarbrücken, stwierdził: „Każdy obiektywny obserwator przyzna niemieckim żołnierzom drugiej wojny światowej, że dokonali wielu wspaniałych czynów wojskowych. Żołnierze Bundeswehry powinni czcić odwagę, dzielność, koleżeństwo i rycerskość bojowników drugiej wojny światowej".

Słowa prezydenta RFN znajdują pełne potwierdzenie w praktyce codziennego życia Bundeswehry. W siłach lądowych, morskich i powietrznych wszystkie jednostki, od batalionu wzwyż, przejęły tradycje dywizji i pułków hitlerowskiego Wehrmachtu. Ponad 120 obiektom wojskowym (koszary, poligony itp.) nadano imiona znanych generałów i oficerów armii cesarskiej lub Wehrmachtu. Na przykład siedem obiektów koszarowych nosi imię Hindenburga, cztery Paula von Lettow-Vorbeck, pruskiego generała, który dowodził korpusem ochotniczym podczas puczu Kappa. W Millenwaldzie znajdują się koszary im. gen. Ludwiga Küblera — przestępcy wojennego, skazanego w 1947 r. na śmierć w Jugosławii, koszary w Lingen k. Ems noszą imię Waltera Flexa — duchowego prekursora narodowego socjalizmu. W koszarach wiszą portrety generałów: Mansteina, Rommla, Guderiana, admirała Dönitza i innych. Tradycje militarne kultywowane są również na okrętach marynarki wojennej RFN.

Do chwili obecnej jednostki pancerne Bundeswehry organizują tzw. „Tiger — Treffeen" — spotkania swoich żołnierzy z byłymi załogami hitlerowskich czołgów. Częste są również doniesienia o udziale żołnierzy i oficerów Bundeswehry w imprezach organizowanych przez stowarzyszenia kombatanckie byłych żołnierzy Wehrmachtu i Waffen — SS oraz przez ugrupowania neofaszystowskie. Wiosną 1977 r. w Wyższej Szkole Bundeswehry w Hamburgu oficerowie — studenci obchodzili hucznie rocznicę urodzin Adolfa Hitlera.

Przykłady te świadczą wymownie o tym, że w wychowaniu żołnierzy Bundeswehry dominuje nadal duch militaryzmu, rewizjonizmu i kultywowane są tradycje hitlerowskiego Wehrmachtu. Sytuacja ta jest rezultatem celowego działania tych kół wojskowo-politycznych w RFN, które są odpowiedzialne za oblicze i charakter Bundeswehry, za politykę militarną RFN.

JAN BĄBIŃSKI

SMUTNE POWROTY

Wpierw to fala biła z południa na północ.

Teraz bije z północy na południe.

Wpierw setki tysięcy, a nawet miliony ludzi wędrowało z zacofanych gospodarczo krajów południowej Europy do bogatych krajów protestanckiej północy. Za chlebem wędrowało dosłownie. To ludzie, do których przylgnęła nazwa „Gastarbeiter". Dziś to reemigranci. To ludzie, którzy odbywają tą samą drogę. Tyle, że powrotną. Tych powrotów jest wciąż więcej i więcej. Ta fala bije wciąż wyżej i wyżej. To już nie wahadło. Ten ruch jest jednostronny.

W 1972 roku w północnych krajach Europy było 8 milionów „Gastarbeiterów".

Dziś jest ich 6 milionów.

I ta liczba wciąż spada i spada. Dobitnym tego przykładem jest Republika Federalna Niemiec. Tygodnik „Die Zeit" informuje, że w 1973 roku w „Bundesrepublice" pracowało gościnnie prawie 3 miliony cudzoziemców... Od tego czasu powróciło do rodzinnych krajów przeszło 800 tysięcy Włochów, Turków i Jugosłowian.

W okresie prosperity pracowało w RFN prawie pół miliona samych Włochów głównie zresztą Sycylijczyków. Obecnie jest ich ćwierć miliona. Cała reszta powróciła, skąd przyszła, głównie do Kalabrii na Sycylię właśnie.

— Kto choć raz w życiu nie dotknął stopą boskiej Italii, zawsze będzie cierpiał na kompleks niższości.

Możliwe, tylko, że różne są Italie.

— Tak czy inaczej, wszystkie drogi w końcu prowadzą do Rzymu.

Możliwe, ale od pewnego czasu raczej prowadzą do Palermo. Tego zdania są sami Włosi, zwłaszcza ci spośród nich, co się urodzili na Sycylii. Podobno najlepiej urodzić się we Włoszech żyć we Francji umrzeć w Hiszpanii... ale powiadam — różne są Italie. Jest bogata północ, jest oczywiście papieski Rzym i jest takie sobie południe. A niżej południa jest jeszcze Sycylia, która poziomem życia bardziej przypomina kraje Trzeciego Świata niż zadufana w sobie zachodnia Europa. Tak prawdę mówiąc, Szwed tyle ma wspólnego z Sycylijczykiem, co Chińczyk z Kubańczykiem. Mimo takich czy innych więzów kulturalnych Europa dzisiejsza jest bardziej niż kiedykolwiek przedtem pojęciem jedynie geograficznym.

Sycylia i całe to tak zwane Mezzogiorno to jakby inny świat.

Wciąż zacofany, wciąż o specyficznej mentalności, dużej przestępczości i wielkim bezrobociu. Giuseppe Mirabella, profesor uniwersytetu w Palermo ogłosił niedawno, że jedynie co trzeci Sycylijczyk ma pracę. Reszta za robotą się rozgląda. Tylko gdzie ją znaleźć? Oto jest pytanie. Trudne i bez tego położenie dodatkowo utrudniają te wciąż wyższe fale reemigrantów właśnie, którym „kontrakty" wygasły i teraz wracają na ojczyzny łono. Słodka wyspa wita ich słońcem i gorącym sercem. Ale czy to do życia wystarczy?

Smutny jest los reemigrantów.

Po pierwsze znaleźli na wyspie to przed czym z wyspy uciekli. Znaleźli autentyczną nędzę. Po wtóre to już nie ci sami ludzie. Widzieli szeroki świat, wiadomo, kto Parvże wygladał tego trudno utrzymać w dawnych ryzach. To element niespokojny. Wiecznie niezadowolony. To ludzie, których wiele w rodzinnych stronach razi i denerwuje. Czują się w domu nieswojo. Dawni znajomi i przyjaciele spoglądają na reemigrantów z rezerwą. Nie poznają ich. Reemigranci wydają się im sztywni i niezupełnie godni zaufania.

Z północy na południe płynie fala reemigrantów.

Północ zrzuca balast. Murzyn zrobił swoje. Murzyn może odejść. Jedynie w ostatnich trzech latach powróciło do kraju 90 tysięcy Turków, prawie 200 tysięcy Hiszpanów, i 120 tysięcy Jugosłowian.

Stosunkowo najlepiej radzą sobie Turcy. Harowali przez 3—4 lata do siódmych potów. Ale przeciętnie każdy z nich przywozi do kraju blisko 2 tysiące dolarów. Czasem 3—5 tysięcy. Gdyby wrócili do swych wiosek w Anatolii z pustą kieszenią, straciliby twarz. A zachować twarz to w Azji rzecz wciąż podstawowa. Stracić twarz, to stracić honor i ludzką godność. Więc Turek „nie doje, nie dopije" jak to się powiada, ale parę w krwawym pocie uciułanych tysiączków jednak do rodziny zawiezie.

Na Sycylii inne wciąż obyczaje i inne tradycje. Właśnie sycylijskie. Dlatego też powroty Sycylijczyków na tę dziwną i z nazwy jedynie europejską wyspę noszą często charakter autentycznych tragedii. Bo ktoś wraca z pustą torbą do kogoś kto pustą z daleka świeci kieszenią. Zupełnie jakby ślepy prowadził kulawego. Jakie z tego wyjście? Najtęższe głowy z EWG od lat już długich próbują ten supeł rozwikłać. Jak dotychczas bez skutku.

U PRZYJACIÓŁ

POLSKA SEKCJA IBBY W MIĘDZYNARODOWYM ROKU DZIECKA

W Międzynarodowym Roku Dziecka, Polski Komitet Przyjaciół Książki dla Dzieci podejmie wiele inicjatyw służących rozwojowi i popularyzacji literatury dla najmłodszych. Organizacja ta jest sekcją międzynarodowego stowarzyszenia IBBY (International Board on Books for Young People) działającego pod patronatem UNESCO. Polski Komitet Przyjaciół Książki dla Dzieci stawia sobie za cel popieranie wszelkich działań sprzyjających podnoszeniu wartości wychowawczych i artystycznych twórczości dla dzieci i młodzieży, zabiega o szeroką międzynarodową popularyzację osiągnięć polskiej literatury, grafiki i krytyki w dziedzinie tej twórczości. Polska sekcja IBBY skupia członków ZLP, ZPAP, działaczy organizacji młodzieżowych i społecznych, wychowawców, pracowników wydawnictw, bibliotek, ośrodków naukowych. Pracom sekcji przewodniczy Wojciech Żukrowski.

W Międzynarodowym Roku Dziecka z inicjatywy tej organizacji podczas IV Biennale Sztuki dla Dzieci w Poznaniu odbędzie się II Międzynarodowe Kolokwium poświęcone literaturze dla najmłodszych. Zaproszeni do udziału w kolokwium naukowcy i krytycy podejmą temat udziału literatury w kształtowaniu osobowości młodego człowieka. Mówić będą m. in. o kierunkach poszukiwań we współczesnej prozie dla starszych dzieci, o problemie czytelnictwa poezji, o sposobach budzenia i utrwalania zamiłowania do lektury u tzw. czytelników opornych. Podobna impreza odbyła się w Poznaniu przed dwoma laty. Przedstawiciele dwunastu krajów podjęli wówczas temat „Książka a zbliżenie między narodami". Podczas tego kolokwium zapadła decyzja o ustanowieniu Międzynarodowej Nagrody im. Janusza Korczaka. Jury tej nagrody literackiej obradować będzie właśnie na tegorocznym IV Biennale Sztuki dla Dzieci.

Ponadto IBBY współpracuje z Komitetem Organizacyjnym Wielkiej Wystawy Ilustracji do Książek dla Dzieci, która odbędzie się w styczniu w Warszawie.

Międzynarodowe stowarzyszenie IBBY co dwa lata przyznaje w dziedzinie literatury i ilustracji dziecięcej nagrodę im. Hansa Christiana Andersena, ponadto wyróżnia najlepsze książki i opracowania ilustracyjne wpisaniem na Honorową Listę im. H. Ch. Andersena. Na liście tej znalazło się dotychczas siedem polskich książek.

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" podjął edycję książek wpisanych na Honorową Listę. Seria ta jest wydawana w pięknie opracowanej przez wybitnych plastyków szacie graficznej.

IBBY współpracuje także z Międzynarodową Biblioteką Młodzieżową, mieszczącą się w Monachium, która systematycznie gromadzi książki dziecięce i młodzieżowe z całego świata, inicjuje badania naukowe w dziedzinie literatury i grafiki dziecięcej oraz zajmuje się popularyzacją tych dziedzin poprzez wystawy, sesje, publikacje bibliografii najlepszych książek świata.

W przyszłym roku Polska Sekcja IBBY obejmie patronat nad Międzynarodowym Dniem Książki dla Dzieci w Polsce.

FILM DOKUMENTALNY W NRD

Film dokumentalny w NRD ma bogaty dorobek i bezsporne osiągnięcia. Już w latach pięćdziesiątych polityczny „dokument" z kraju naszego zachodniego sąsiada zdobył sobie międzynarodowy rozgłos, a tacy twórcy, jak Walter Heynowski, Gerhard Scheumann i Peter Hellmich należą od lat do ścisłej światowej czołówki. Liczne nagrody na Międzynarodowych festiwalach zdobyli również Gitta Nickel, Karl-Heinz Mund, Kurt Tetzlaff, Volker Koepp czy Karl Gass, żeby wymienić tylko kilku czołowych dokumentalistów związanych z wytwórnią „Defa".

Niedawno w Neubrandenburgu odbył się pierwszy krajowy festiwal filmów dokumentalnych i krótkometrażowych NRD. Była to prezentacja aktualnego dorobku, a jednocześnie okazja do szerokiej dyskusji na temat obecnego stanu oraz trendów i kierunków dalszego rozwoju filmu dokumentalnego i krótkometrażowego NRD. Z zadowoleniem podkreślono prawidłowość dotychczas obranej drogi, zgodnej z zapotrzebowaniem społecznym na te formy filmowe.

Trzeciego stycznia funkcję premiera rządu irańskiego objął dr Szapur Bachtiar, który uformuje rząd cywilny. Jego wojskowy poprzednik poniósł klęskę w bezskutecznych i krwawych próbach przełamania kryzysu państwowego. Mimo oświadczenia nowego premiera, iż winni korupcji oraz sprawcy zabójstw i tortur zostaną ukarani, wystąpienia antyrządowe nie osłabły. Ajatollah Rumollah Khomeini oświadczył ze swej strony, iż rząd premiera Bachtiara jest nielegalny... Uważa się powszechnie iż nowa ekipa rządowa nie odegra większej roli.

Ruch antypaństwowy w Iranie jest przede wszystkim ogólnonarodowy, biorą w nim udział masy pracujące całego kraju — robotnicy, chłopi, mieszczaństwo, inteligencja, studenci, niemal cała młodzież. Uczestnicy gwałtownych demonstracji żądają poszanowania konstytucji nie w słowach lecz w czynach, wolności słowa i prasy, uwolnienia więźniów politycznych, rozwiązania tajnej policji politycznej SAVAK, dokonania gruntownych przemian socjalno-ekonomicznych oraz reform politycznych, zrzucenia jarzma obcego kapitału. Staje się coraz bardziej widoczny antyamerykański i antyimperialistyczny charakter tych wystąpień.

Dzienniki zachodnie zwracają uwagę, iż w armi i państwowych instytucjach Iranu pracuje ok. 50 tysięcy amerykańskich ekspertów i doradców. Amerykańskie samoloty dostarczają codziennie do Teheranu broń i agentów CIA. Wszędzie gdzie pracują Amerykanie pojawiają się ulotki: „Przeklęci Jankesi! Wiecie dobrze o bestialstwach obecnego reżimu. Mimo iż potępiają go wszyscy uczciwi ludzie, wy popieracie go wraz ze swoim prezydentem. Oto dlaczego nienawidzi was cały nasz naród!" Są one rozklejane na szerokich ulicach w północno-wschodniej części Teheranu, na Palcu Bazarowym w Isfahanie, w sklepach Shirazu, w petrochemicznych zakładach w Ahvazie, antyamerykański podtekst wystąpień w Teheranie przekonał Amerykanów, że są w Iranie niepopularni i niepożądani. Uczestnicy antyamerykańskiej demonstracji protestu doszczętnie zdemolowali siedzibę „kompanii PanAmerican World Airways, obrzucali kamieniami hotel „Intercontinental" w Teheranie, podpalili samochód ciężarowy należący do kompanii Pepsi-Cola. Tłum demonstrantów rzucał bomby zapalające do willi zamieszkałych przez Amerykanów i do wielkiego domu mieszkalnego, zajmowanego przez amerykańskich doradców. Był to pierwszy atak na amerykańskie enklawy w Teheranie. Następnego dnia rozklejono w całym kraju ulotki, w których strajkujący robotnicy przemysłu naftowego żądali wydalenia z kraju wszystkich cudzoziemców. Podtekst tych wystąpień nie budził wątpliwości: „Jankesi do domu!"

Tysiące Amerykanów w Iranie, to nie tylko cywilni doradcy, lecz także, i przede wszystkim, wojskowi eksperci, którzy szkolą irańskie siły zbrojne w posługiwaniu się nowoczesnym, amerykańskim sprzętem wojskowym. A prezydent Carter oświadcza, że „Stany Zjednoczone nie mają najmniejszego zamiaru mieszania się w wewnętrzne sprawy Iranu"... Prezydent USA oświadcza także: „Jest oczywiste, iż Stany Zjednoczone całkowicie popierają szacha". To prawda, tylko, że nie popiera go cały naród irański, a ostatnio nawet w armii zarysowały się wyraźne oznaki sympatii dla walki narodu irańskiego, w szczególności po manifestacyjnym pogrzebie kilkuset ofiar masakry w Meszhedzie.

Przedstawiciele opozycji wskazują, iż jest to pierwszy symptom jawnego i masowego poparcia armii dla ludowej rewolucji w Iranie. Naoczni świadkowie tego wydarzenia opowiadali korespondentom zachodnich dzienników, że żołnierze złożyli broń i na kilkunastu transporterach opancerzonych przyłączyli się do demonstrantów. Transportery były oklejone antypaństwowymi hasłami i portretami przywódcy opozycji religijnej ajatollaha Rumollaha Khomeini

IRAN

RZECZYWISTOŚĆ ZASKOCZYŁA SZACHA I RZĄD...

Uważny obserwator wydarzeń w Iranie dostrzega istotną rolę jaką odgrywa w nich duchowieństwo, wywierające znaczny wpływ na masy muzułmańskie. Nie sposób szerzej omówić tej bardzo złożonej kwestii w krótkim artykule, niemniej, z obowiązku dziennikarskiego, należy jej poświęcić nieco miejsca. Otóż, ani tajna policja polityczna Iranu-SAVAK, ani amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza, zaczarowane „komunistycznym zagrożeniem" i „potencjalnym niebezpieczeństwem ze strony Związku Radzieckiego" nie przewidziały zarówno powstania narodowego, które wstrząsnęło posadami Iranu, jak i roli jaką odgrywa ruch religijny w walce przeciwko dynastii Pahlavi. Szyizm w Iranie był zawsze religijnym wykładnikiem tożsamości narodowej, czego nie można powiedzieć o ortodoksyjnym sunnickim kierunku islamu, który wyznaje 90 procent ludności innych muzułmańskich krajów, w tej liczbie także arabskich. Religijne koła Iranu niejednokrotnie występowały przeciwko suwerenom swego kraju.

Obecny ruch religijny w Iranie ma głębokie historyczne korzenie. Sięgając do czasów bardziej nam bliskich, w XIX wieku przywódcy religijni Iranu wystąpili przeciwko zamierzeniom szacha udzielenia koncesji przemysłowych carskiej Rosji i Anglii, a w szczególności przeciwko udzieleniu w 1889 roku angielskiemu baronowi Reuterowi zezwolenia na eksploatację kopalń i uruchomienie banku emisyjnego. W 1890 roku przywódcy religijni wystąpili przeciwko udzielaniu obcokrajowcom prawa na budowę dróg i układanie linii kolei żelaznej. Od 1906 roku, kiedy to przyjęto do dziś obowiązującą konstytucję, do 1925 roku kiedy na tron wstąpił Reza Szach (dając początek dynastii Pahlavi — red.), po obaleniu dynastii Kadżarów, w kraju okresowo wybuchały powstania religijne i monarchowie musieli iść nieraz na duże ustępstwa wobec przywódców religijnych. W tym też czasie zrodził się sojusz między postępowymi nurtami religijnymi, drobnymi kupcami i proletariackim ruchem socjalistycznym, do którego wchodziła większa część spośród 300 tys. Irańczyków pracujących w Rosji carskiej, głównie w Baku, którzy powrócili do ojczyzny po upadku powstania w Rosji w 1905 roku. Ruchy te, z małymi przerwami, trwały zawsze.

Cesarski reżim Pahlawi zignorował te lekcje historii, mniemając iż instytucje religijne nie odgrywają już takiej roli, jak niegdyś. Rzeczywistość całkowicie zaskoczyła i szacha, i jego aparat państwowy. Wezbrana fala wystąpień religijnych ogarnęła 36 milionową ludność Iranu, z której 60 proc. nie przekroczyła 20 roku życia. Paradoks polega na tym, że szach sam przyspieszył wybuch powstania. Dążąc do modernizacji kraju za wszelką cenę, daleki od chęci dzielenia się z kimkolwiek władzą, zaatakował przywódców religijnych. Mając nadzieję na poderwanie ich autorytetu, szach nie ograniczył się do oskarżeń. „Czarna reakcja — powiedział w styczniu 1962 roku (przytaczamy za prasą zachodnią) — składa się z ciemnych i złośliwych elementów, których wyobrażenia i wzorce myślowe nie uległy zmianie od tysięcy lat. Zamierzenia czerwonych elementów wywrotowych są dla mnie zrozumiałe, ale odczuwam o wiele większą nienawiść do czarnej reakcji".

Religijni przywódcy i ich stronnicy, urażeni do żywego tym oświadczeniem szacha, przystąpili do działania: szerzej otworzyli wrota meczetów, zaczęli studiować podstawowe współczesne nauki ideologiczne, filozoficzne i ekonomiczne. Jednocześnie na wzrost ich autorytetu wpłynął szereg czynników związanych z pozbawieniem społeczeństwa irańskiego naturalnych środków wypowiedzi: ignorowanie konstytucji z 1906 roku, przekształcenie parlamentu w mechanizm głosowania, zakaz działalności partii politycznych, rozsadzenie ruchu związkowego, wojna wypowiedziana niektórym instytucjom społecznym — sądom, uniwersytetowi, stowarzyszeniom twórczym, nauczycielom, ataki, na prasę. Meczet — miejsce modlitwy, spotkań i rozmyślań — staje się duchową przystanią dla wszystkich niezadowolonych z „dzikiego", ekonomicznego liberalizmu sprzyjającego wzrostowi korupcji i odrzucaniu tradycyjnych wartości. I tak oto religijny ruch protestu, który ajatollahowie umieli przekształcić w groźną i efektywną broń, ogarnął cały kraj. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt, który w rewolucyjnych wydarzeniach w Iranie odgrywa istotną rolę do obowiązków duchownych należy, m. in. zbiórka datków pieniężnych na potrzeby uprawiania kultu religijnego. Ogólna suma tych datków waha się w granicach 20—40 mln dolarów rocznie. Władze irańskie twierdzą, że tylko ajatollah Khomeini zabrał w tym roku z ofiar wiernych ok. 25 mln dolarów. Fundusz ten przeznacza się obecnie przede wszystkim na pomoc strajkującym robotnikom i rodzinom osób zabitych podczas demonstracji antyrządowych.

Naród Iranu walczy dziś o niezależną politykę narodową, oskarżając reżim cesarza Pahlavi o realizowanie takiej strategii ekonomicznej, która zwiększa zależność kraju od obcych mocarstw, a przede wszystkim od Stanów Zjednoczonych, prowadząc do burzenia narodowych struktur społecznych.

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

„Obie strony przygotowują się do nadchodzących dyskusji w Kongresie w sprawie ratyfikowania porozumienia SALT 2, którego zawarcie będzie z pewnością ogłoszone w niedługim czasie. Całkiem możliwe, iż debaty te będą najpoważniejszą próbą dla amerykańskiej polityki zagranicznej od czasów dyskusji w Senacie na temat Porozumienia Wersalskiego i Ligi Narodów 60 lat temu.

J. Lowdal z Rady Bezpieczeństwa Narodowego utrzymuje, że jeśli Senat nie ratyfikuje tego porozumienia, to taki rozwój sytuacji zaniepokoi sojuszników. „Oznaczałoby to — pisze on w artykule zamieszczonym w dzienniku „Foreign Affairs" — że amerykański system polityczny nie jest zdolny do wypracowania stabilnej jednomyślności narodowej, nawet w najbardziej ważnych problemach polityki zagranicznej".

Prezydent Carter aktywizuje kampanię na rzecz ratyfikacji. W ubiegłym tygodniu spędził dwie godziny na rozmowach z dziewięcioma dopiero co wybranymi senatorami, wyjaśniając im cele kontroli zbrojeń. Doradca prezydenta, E. Weksler, także rozmawiała w tej sprawie z 400 przewodniczącymi organizacji kobiecych.

Aktywizują się również przypuszczalni przeciwnicy tego prozumienia. „Konserwatywne Towarzystwo Ameryki" wykupiło czas w 270 stacjach telewizyjnych na projekcję filmu „Sowiecka potęga-amerykańskj mit, Stany Zjednoczone ustępują". W podobnym duchu 170 emerytowanych generałów i admirałów, wchodzących w skład ugrupowania pod nazwą „Perspektywy polityki zagranicznej", twierdzi, że Rosjanie zwiększają swoją przewagę w uzbrojeniu. Walka toczy się również w Senacie, gdzie jedna trzecia, czyli 34 jego członków, ma prawo veta.

„Jest to najważniejszy dla rządu problem polityki zagranicznej" — powiedział prezydent Carter świeżo wybranym senatorom. Wraz z innymi problemami będzie on omawiany z głównymi zachodnioeuropejskimi sojusznikami Stanów Zjednoczonych podczas spotkania na szczycie na francuskiej wyspie Gwadelupa na Morzu Karaibskim.

Senator Masky ostrzegł, iż odrzucenie porozumienia SALT 2 będzie sygnałem do wznowienia wyścigu zbrojeń i zwiększenia kosztów idących w miliardy dolarów, w związku z koniecznością asygnowania dalszych środków na konstruowanie nowoczesnych broni. Sprawa przyjęcia Masky w skład senackiej komisji spraw zagranicznych, składającej się z 16 osób (10 demokratów, 6 republikanów) jest najwidoczniej już przesądzona. Dzięki swemu prestiżowi będzie on mógł pomóc przewodniczącemu komisji F. Churchowi, jeśli tylko solidarnie będą popierać ratyfikację porozumienia.

Los porozumienia o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych w nowym senacie będzie prawdopodobnie zależeć od republikanów. Nowy Senat liczy 58 demokratów, 41 republikanów i jednego niezależnego. Lider mniejszości w senacie, H. Bayker, brał udział w ratyfikowaniu carterowskich porozumień w sprawie Kanału Panamskiego. Jednakże jego poparcie dla porozumienia o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych, wbrew stanowisku jego własnej partii, może go pozbawić szans na wysunięcie jego kandydatury na stanowisko prezydenta („Christian Science Monitor" — Boston)

(J.)

W BILANSIE ROKU

Pierwszy komentarz w nowym roku zwyczajowo zawiera elementy bilansu kalendarzowego okresu, który upłynął. Nie chcemy zmieniać tej tradycji.

Z pewnością możemy powiedzieć, że **dominującym tematem międzynarodowym 1978 roku było odprężenie.** Osiągnęliśmy na tej drodze pewien dalszy postęp. Niestety, nie jest on zadowalający. Silniej bowiem niż poprzednio dały o sobie znać siły jemu przeciwne.

Odprężenie polityczne — co wykazywaliśmy wielekroć — na obecnym etapie musi być już wsparte odprężeniem militarnym. Praktycznie **oznacza to konieczność przerwania wyścigu zbrojeń i zapoczątkowania rozbrojenia.** Ile w to włożył wysiłków Związek Radziecki — zbędne byłoby przypominać. Trudno zliczyć wszystkie w tej dziedzinie inicjatywy. I chociaż na kilku międzynarodowych gremiach dyskutuje się nie które z nich — właściwie Zachód nie wyszedł im jednoznacznie naprzeciw. Więcej — utrzymuje wysokie tempo wzrostu zbrojeń i takie plany ustalił na najbliższe pięciolecie. **Nadal więc niebezpiecznie rozwija się wyścig zbrojeń — tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym.**

Jedyną przysłowiową „jaskółką" rozbrojeniową jest **zbliżanie się do końca rokowań radziecko-amerykańskich, których celem jest zawarcie nowego porozumienia na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych.** Miałoby ono dla świata ważne znaczenie i mogłoby korzystnie ożywić i inne rokowania rozbrojeniowe. Ale w bilansie minionego roku i te rokowania nie mogły jeszcze otrzymać znaku plus.

Równocześnie na Zachodzie przejawiły się dwie inne niebezpieczne tendencje: do czynnego przeciwstawiania się dążeniom narodowo-wyzwoleńczym i samodzielności politycznej młodych państw, a także do prób ingerowania w wewnętrzne życie krajów socjalistycznych. **Konfliktem wciąż tlącym się pozostaje rejon bliskowschodni.** Stany Zjednoczone, wiedzione chęcią zwiększenia tam swych wpływów, zainspirowały Egipt i Izrael do bezpośrednich rozmów i przygotowania dwustronnego porozumienia. Tak doszło do szczytu w Camp David, po którym okrzyknięto, że układ między dwoma państwami jest już tylko kwestią czasu. Terminy minęły, do zawarcia układu nie doszło, natomiast owa separatystyczna gra jeszcze bardziej podzieliła świat arabski. Z tym, że większość państw stanowczo opowiedziała się przeciwko dwustronnym porozumieniom i potępiła Egipt za dokonanie wyłomu i zdradę interesów arabskich.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest zatem nadal bardzo złożona i mniej korzystna niż przed rokiem.

Antypokojowo wkroczyły **na arenę międzynarodową maoistowskie Chiny,** wychodząc w jakimś stopniu z izolacji.

Wydarzeniem końca roku było równoczesne ogłoszenie w Waszyngtonie i Pekinie, iż **z dniem 1 stycznia oba kraje nawiązują stosunki dyplomatyczne.** Oznajmiając to prez. Carter stwierdził, że USA zerwą stosunki i układ o współpracy z Tajwanem. Z wyspą Waszyngton zamierza utrzymywać stosunki kulturalne, handlowe i inne, nadając im jednak charakter nieoficjalny. Z tego terytorium USA wycofają swe wojska w ciągu najbliższych czterech miesięcy.

Prez. Carter oświadczył przed kamerami:

„Nie podejmujemy tego ważnego kroku dla przejściowych, taktycznych lub oportunistycznych celów. Uznając, że rząd ChRL jest jedynym rządem Chin, uznajemy po prostu istniejącą rzeczywistość".

Przypomnijmy, że **USA nie uznały Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 roku** i utrzymywały na mocy traktatu o obronie stosunki z reżimem Czang Kai-szeka, który schronił się na Tajwanie. Przypomnijmy również, że **Stany Zjednoczone przez długie lata odmawiały ChRL prawa wstąpienia do ONZ.**

Decyzja o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Pekinem odbiła się szerokim echem. Na Tajwanie zaś spowodowała istne zamieszanie i dymisje w tamtejszym rządzie.

Pewien proces normalizacji na linii Waszyngton — Pekin rozpoczął się w 1972 roku — w czasie wizyty Nixona w Chinach i z różnym powodzeniem toczył się do tej pory. Ustanowienie normalnych stosunków między dwoma państwami jest sprawą naturalną. Rzecz jednak w tym, **na jakiej podstawie przebiega normalizacja, jakie cele przyświecają obu stronom.** Dlatego następstwa decyzji Waszyngtonu i Pekinu będą śledzone na całym świecie ze szczególną uwagą.

J. Carter poinformował Leonida Breżniewa, że USA nie mają na względzie nic innego niż tylko działanie na rzecz pokoju w świecie. Chcemy wierzyć, że rozwój stosunków amerykańsko-chińskich nie będzie wymierzony przeciwko ZSRR i idei międzynarodowego odprężenia.

Poświęciliśmy nieco więcej miejsca temu tematowi, jako najnowszemu, jeszcze tutaj niekomentowanemu.

Wkraczamy w nowy — 1979 rok w sytuacji, kiedy proces odprężenia zaktywizował siły jemu przeciwne. Oczywiście dążenie do załamania kursu na dalszą poprawę stosunków między państwami nie jest tendencją szeroką. Świat bowiem dąży do trwałego pokoju, bezpiecznej egzystencji narodów i korzystnej dla wszystkich współpracy. I w tym kierunku — mimo wszystkich przeszkód i utrudnień — kraje socjalistyczne będą konsekwentnie zmierzać. Nie ma bowiem żadnej rozsądnej alternatywy. A stanowczość, służąca dobrym celom, jak uczy międzynarodowe doświadczenie, wcześniej czy później przynosi rezultaty.

W. SŁAWSKI

Foto: W. Parys

80-lecie HORACEGO SAFRINA

W dniu 11 stycznia HORACY SAFRIN kończy 80 rok życia. Z tej okazji zwróciliśmy się do popularnego pisarza o udostępnienie naszym Czytelnikom fragmentów z Jego najnowszych, jeszcze nie publikowanych prac, a także żartobliwie spisany życiorys własny.

Drogiemu mistrzowi Horacemu z okazji pięknego Jubileuszu składamy najlepsze życzenia dobrego zdrowia i dalszych sukcesów literackich.

REDAKCJA

URODZINY Z PIÓREM W RĘKU

Dalszy ciąg ze str. 1

feldfebel demonstrował te osiągnięcia wobec generała.

Po wojnie Horacy Safrin wrócił do Stanisławowa, tu zaś uwagę jego przyciągnęło ziawisko żywo go obchodzące, mianowicie bardzo niski poziom galicyjskiego teatru żydowskiego. Czuł się powołany do przeciwdziałania. Miał bowiem za sobą jakieś wykształcenie, jakieś otarcie się o wielki świat, nawet współpracę z „Ilustrowanym Kurierem Wiedeńskim". A na łamach tego pisma drukowano Przybyszewskiego. Poznali się. Przybyszewski zachwycał się niemieckimi wierszami Safrina. Miał za sobą — jak to sam określa — ruch u p o r u, tj. skłonność do przeciwstawiania się bzdurze, bez względu na to, gdzie by się nie ujawniała. Kiedy na przykład jako uczeń gimnazjum pisał wypracowania na zadane przez dr Jakuba Gerszwina tematy, dawał ocenę tych tradycyjnych, stereotypowych tematów zamiast je rozwijać. „Rzeczywistość i fantazja w twórczości Słowackiego". Albo „Nie czas żałować róż kiedy płoną lasy" Dobry skądinąd polonista (i przyjaciel Przybyszewskiego), dr Gerszwin dowiadywał się z zeszytu Safrina, że tematy takie pozbawione są sensu. Safrin zaś nie poprzestał na swojej wiedeńskiej eduakcji. W latach dwudziestych słuchał we Lwowie jako wolny słuchacz polonistyki wykładów np. Juliusza Kleinera. Bywał w knajpie „Atlasa", która stanowiła lwowski odpowiednik „Zielonego Balonika". Ściany ozdobione karykaturami, oraz mottem: „Bo kto nie był pijany ni razu ten nigdy nie był człowiekiem". Siedziało się na beczułkach. I spotykało wielkich ludzi. Tam Safrin poznał Staffa, tam widywał Kasprowicza — człowieka bez uśmiechu. Szeptano, że to od chwili, gdy rozstał się z żoną Jadwigą, która mu odbił Przybyszewski. Tam bywał Bruno Jasieński, uważany wówczas za pajaca („But w butonierce") tam wreszcie zbliżył się Safrin z Henrykiem Zbierzchowskim, autorem „Małżeństwa Lali" który go nakłaniał do zajęcia się satyrą. I pisał. Do lwowskiej „Chwili" i innych czasopism.

A jednocześnie działał na niwie teatru żydowskiego. W roku 1921 stworzył w Stanisławowie studio dramatyczne im Goldfadena. Ono dało grupie entuzjastów niezbędne przygotowanie i oto na terenie województw tarnopolskiego, stanisławowskiego i części lwowskiego zaczął działać nowy teatr żydowski, którego kierownikiem literackim, a nierzadko reżyserem był Horacy Safrin. A program realizowano ambitny. „Kupiec wenecki" Szekspira, „Śnieg" Przybyszewskiego, „Sędziów" Wyspiańskiego, „Panna Julię" Strindberga. Sztuki te tłumaczył na żydowski kierownik literacki osobiście. Oczywiście utrzymanie teatru tak pomyślanego nie było łatwe, trzeba więc było pomóc sobie rewią i operetką, jako formami łatwiej ściągającymi publiczność. Safrin przetłumaczył więc „Piękną Helenę" oraz „Orfeusza w piekle", poza tym zaś napisał jedenaście rewii. Elementem niezbędnym takiej rewii była konferansjerka, jej zaś tworzywem — anegdota. I tu zaczęło się zainteresowanie pisarza anegdotą żartem, facecją. Zaczął rzeczy te zbierać, kupować wreszcie — zmyślać, i oto mamy geneze jego niektórych, cieszących się dziś ogromnym powodzeniem książek. Zresztą — ilość anegdot, jakimi Horacy Safrin posłużył się czy to jako konferansjer czy jako pisarz, czy wreszcie jako autor spotykający się z czytelnikami jest tak wielka, obejmuje tak wielką ilość tematów, że dziś rozmowa z nim zbacza wciąż ku anegdotom, wzbogaca się anegdotą, błyszczy nią. „Anegdota — mówi pisarz — pomaga mi w życiu. Kiedyś wezwał mnie dyrektor szkoły, do której chodził mój wychowanek i poinformował, że chłopiec jest „cztery razy na „nie": nie pali nie pije, nie chuligani i nie uczy się". Ja wtedy odpowiedziałem mu galicyjską anegdotką: przyszedł swat do młodego człowieka z propozycją poślubienia pewnej panny. „Ależ ona jest ślepa!" — woła oburzony młody człowiek. „To świetnie — skwapliwie zgadza się swat — nie będzie widziała twoich brudnych interesów." „Ona jest także głucha!" No właśnie — zachwyca się swat — nie będzie słyszała, jak kłamiesz." „Jest kulawa" — nie ustępuje amator ożenku. „To też dobrze, nie będzie za tobą łaziła..." „Jest garbata! — upiera się młody człowiek. „Bądź sprawiedliwy — swat na to — jedna wade to ona może mieć..."

Odwiedziłem Horacego Safrina w czasie, kiedy budowa trasy W-Z przyczyniała mieszkańcom skrzyżowania Mickiewicza — Kościuszki wiele kłopotów. M.in. nastąpił wybuch przewodów z gorącą wodą tak silny, że płyty chodnikowe uniosły się do poziomu drugiego piętra i powybijały szyby w niektórych mieszkaniach. „Ale mieliśmy szczęście, bo nikogo nie zabiło. Mieliśmy tzw. żydowskie szczęście. Czy pan wie, co to jest „żydowskie szczęście"? — W Stanisławowie żył bogacz nazwiskiem Seibel. Do jednego ze swoich młynów sprowadził bardzo silny motor Diesla. Zapłacił za niego siedem tysięcy dolarów w złocie. Razem z silnikiem przyjechali niemieccy instruktorzy, żeby pokazać, jak się trzeba z tym urządzeniem obchodzić i, być może, wszystko byłoby w porządku, ale Seibel zaniedbał natychmiastowego ubezpieczenia silnika, a ten — eksplodował. Kierownik młyna Josze Fiszer wysłał do szefa list tej treści: „Wielce szanowny panie. Mamy dziś wielkie szczęście. Motor pękł i nikogo nie zabił." Seibel przeczytał to głośno i powiedział do żony: „No jak ci się podoba moje szczęście?"

Wtedy, w stanisławowskim okresie teatru żydowskiego zapotrzebowanie na anegdotę było znaczne, z braku zaś tych rodzących się w życiu trzeba było tworzyć własne. A anegdota, zwłaszcza dobra, śmieszna odrywa się od osoby twórcy i zaczyna żyć własnym życiem. Tak bywa z anegdotą teatralną tak bywało z tymi, które puścił w obieg albo wręcz wymyślił Horacy Safrin. Zwłaszcza jedna z tych ostatnich zrobiła niebywałą karierę. Oto ona. Ów teatr ze Stanisławowa miał rzekomo wystawić rewię w sali „Sokoła" w Haliczu. Konferansjer (tj. Safrin) poprosił dozorcę czy woźnego tej sali o talerz. Talerz został w czasie przedstawienia potłuczony. Na drugi dzień — znów prośba o talerz i tak przez kilka dni. Wreszcie to dozorca zgniewało „Po co wy codziennie tłuczecie talerz?" — „Dla śmiechu — brzmiała odpowiedź. — Talerz się tłucze i ludzie się śmieją". — „Był tu niedawno jeden teatr i wystawiał sztukę pt. „Hamlet" — odpowiedział dozorca. — Nikt nie tłukł talerzy, a i tak wszyscy się śmiali." Anegdotę tę wymyślona przez Safrina zanotował Władysław Walter jako przeżycie własne, sobie ją przypisał Orwicz, a można ją też było znaleźć w wypowiedzi, jaka przed kilku laty Stanisław Łapiński udzielił na łamach „Dziennika Łódzkiego" Janowi Koprowskiemu. Horacy Safrin nie ma o to do nikogo pretensji. Stawia tylko jeden warunek: aby tego, czy jakiegokolwiek innego dowcipu nie „położyć". „Bo, widzi pan, pewien Icek w Monasterzyskach usłyszał tego rodzaju kawał: — Ile ziadasz bułek na czczo? — Pięć. — A nieprawda, bo tylko jedną ziadasz na czczo, te pierwszą. Kiedy jesz następne już nie jesteś na czczo" Icek postanowił przeprowadzić te śmieszną rozmowę w domu. „Ile ziadasz bułek na czczo?" — zapytał żonę. „Trzy — brzmiała odpowiedź. „Szkoda, że nie pięć, to bym ci powiedział dobry kawał".

Żeby odebrać dowcip i przekazać go dalej, trzeba mieć poczucie humoru. Na szczęście my, Polacy na ogół je mamy, zaś społeczeństwo żydowskie Polski międzywojennej, zwłaszcza jej kresów wschodnich wytworzyło specyficzny humor nierzadko o zabarwieniu makabrycznym. Oto anegdota stanowiąca charakterystyczny przykład. Ulicą idzie kondukt pogrzebowy, za karawanem — samotny mężczyzna. Podchodzi do niego jakiś przypadkowy przechodzień: „Moniek, kto to umarł?" — „Moja druga żona." — „Cóś takiego! Ja nie wiedziałem, że ty się ożeniłeś drugi raz. To ja ci z opóźnieniem składam serdeczne gratulacje."

Dla odmiany humor Żydów amerykańskich zawiera w sobie sporo absurdu, jak na przykład w następującym dowcipie. Do dyrektora cyrku przychodzi Żyd z brodą i proponuje numer do programu: pies rasy pudel służy. Dyrektora to nie interesuje. Wobec tego gość proponuje rozszerzenie programu: psu siada na głowie papuga i recytuje monolog Hamleta. „Dobrze — zgadza się dyrektor — angażuję papugę." „Ależ panie dyrektorze! to jest pies brzuchomówca!"

Od powyższych dwóch rodzajów Horacy Safrin odróżnia tzw. szmonces, jako dowcip zawierający znakomite pomysły przy banalnej sytuacji. Do miasteczka przyjeżdża pobożny Żyd, chasyd z rudą brodą. Załatwił interesy i chętnie skorzystałby z usług domu publicznego, ale nie zna adresu, a pytać wprost nie wypada, bo po stroju każdy poznaje pobożnego. Zaczepia po namyśle przechodzącego Żyda i pyta: „Wujku, a gdzie mieszka tuteiszy rabin — oby żył 120 lat!" Uprzejmy przechodzień pokazuje mu zielony dom. „Co?! — woła chasyd — obok burdelu?!" — „Cóś ty głupi? — dziwi się tamten. — Rabin mieszka w tym zielonym domu, a burdel jest tam na rogu, w żółtym".

Horacy Safrin chętnie mówi o sobie, że jest satyrykiem, ponieważ zaś rozmowa z nim obfituje w żarty, anegdoty, facecje, jego rozmówca daje się zwieść tym pozorom. A jeszcze świadomość, że czwarte wydanie „Przy szabasowych świecach" miało nakład 80 tysięcy i rozeszło się w mgnieniu oka. Ale wystarczy sięgnąć po inne książki tegoż autora, po inne fragmenty wspomnień, by dostrzec w nim poetę, znakomitego bajkopisarza, a przede wszystkim humanistę świetnie zorientowanego w literaturze polskiej i światowej. Dość powiedzieć, że Heinego tłumaczy z pamięci, a znając go tak dobrze, dostrzega błędy w polskich przekładach tego poety, nie zaglądając do oryginału.

Punktem wyjścia jego bajkopisarstwa była wspomniana wyżej bajka o dwóch koziołkach. Owa dziecięca refleksja zaowocowała w latach pięćdziesiątych antybajka w której oba koziołki wpadły do strumienia właśnie dlatego, że były takie grzeczne. Owocem tych zainteresowań stał się zbiór bajek poetyckich pt. „Ośla szczeka". A nie zapominajmy, że przed dziesiątkami lat był zbiór wierszy „Karpaten-Klänge" że kiedyś, kiedy Stanisławów leżał w granicach monarchii Austro-Węgierskiej, na łamach nieznanego w świecie tygodnia „Życie Stanisławowa" ukazał się pierwszy wiersz 12-letniego Horacego Safrina. Było to ponad 65 lat temu. A w czasie, kiedy lata te biegły, pisarz ani przez chwilę nie wyrzekł się swego poetyckiego powołania.

Dziś obchodzi swoje osiemdziesiąte urodziny z piórem w ręku i wyłuskuje z tej ogromnej przestrzeni życia jakąś poetycką syntezę i jakiś powód do śmiechu. Osiemdziesiąt lat dla człowieka wciąż pełnego twórczej inwencji i pasji to okoliczność radosna. A przecież na stronicach „Szabasowych świec" wyraził Pan, Panie Horacy życzenie, by mówić o Panu przy radosnych okazjach. A więc...

JERZY URBANKIEWICZ

HORACY SAFRIN

SENNIK EGIPSKI CZYLI TRAKTACIK O GRAFOMAŃSTWIE

Działo się to w stolicy naddunajskiej — uroczym, przytulnym mieście, dokąd podczas pierwszej wojny światowej przeniosła się znakomita większość inteligencji galicyjskiej.

Sędziwa Vindobona przyjęła nas gościnnie: nie poskąpiła nam garkuchni ani groszowych zasiłków, a miejscowe szkoły szeroko otwarły swe podwoje dla uczącej się młodzieży.

Czy poza szkołą, „Kurierem Wiedeńskim" i „Strzechą" — staroświecką gospodą, gdzie przy lampce cienkusza spotykało się nasze uchodźstwo — istniały inne formy kulturalnego wyżycia się Polaków? Bynajmniej.

A jednak znalazł się człowiek, który za wszelką cenę starał się umilić nam przymusowy pobyt w grodzie Habsburgów. Był nim niejaki Roman Hernicz — poeta, prozaik, dramatopisarz, recytator i impresario w jednej osobie.

Badaczom literatury oraz starzejącym się przedstawicielom średniego pokolenia, którzy zechcą sobie przypomnieć wierszyki Hernicza z „Wolnych Żartów", pragnę podać do wiadomości, że mąż ów miał na swoim sumieniu dwadzieścia kilka pozycji książkowych.

Wychowany w moim rodzinnym mieście — Stanisławowie — w szesnastym roku życia chadzał w czarnej pelerynie i szerokim kapeluszu, spod którego spływały gęste pukle pieczołowicie trefionych włosów. Ogłosił podówczas drukiem tomik wierszy pod tytułem „Bezgwiezdne noce". Ta pierwsza pozycja wydawnicza nie przeszkodziła jednak, że od czasu do czasu popadał w konflikt z Antonim Małeckim, autorem obowiązującej w owych latach gramatyki języka polskiego. Świadczył o tym chociażby zrodzony z „Weltschmerz"-u trójwiersz:

Lecz moje pieśnie
Rani boleśnie
To marne, nędzne życie...

Ten „raniony przez życie" piewca ujawniał jednakowoż niemało sprytu, jeśli chodzi o organizowanie rozrywek kulturalnych dla Polonii wiedeńskiej.

Były to literacko bezwartościowe, lecz za to intratne i ze Skarbu Państwa (za pośrednictwem ministra Bilińskiego) szczodrze subwencjonowane imprezy. Nosiły one zazwyczaj tytuły zaczerpnięte z książek pomysłowego autora. Walczyły przy tym o palmę pierwszeństwa nagłówki w rodzaju: „Tęczowa baśń", „Śmiej się, pajacu!" lub „O Polsko, Polsko, ukąpana w krwi!".

Ponieważ „Kurier Wiedeński" nie wpuszczał na swoje łamy utworów Hernicza, tenże poprzysiągł „elitarnemu" dziennikowi krwawą zemstę.

Wydawał więc czernią drukarską i jadem ociekające jednodniówki i ulotki, których sam był kolporterem. I tu wchodził w grę bogaty asortyment tytułów, wahający się w granicach między protestem woźnego Protazego a „J'accuse" Emila Zoli. Raz nawet był w obiegu dość spory nakład ulotki, na której widniał sążnisty tytuł: „Pod sąd!"

Z biegiem czasu działalność Hernicza w dziedzinie upowszechniania kultury zaczęła słabnąć. Sale coraz częściej świeciły pustkami. Niezmordowany Roman zakasał rękawy i pełną parą zabrał się do — pisania książek.

Pewnego popołudnia, wchodząc do kawiarni „Ronacher" zastałem go nad stosem rękopisów i białych kartek papieru.

Spojrzał na mnie spode łba i bez długich wstępów oświadczył uroczyście:

— Wiesz, kochany, dziś doprawdy nie mam czasu. Otrzymałem pilne zamówienie. Terminową robotę. Przygotowuję do druku „Sennik egipski"... Poza tym, możesz wypić kawę na mój rachunek...

Usiadłem przy sąsiednim stoliku i obserwowałem „człowieka pióra", który w pocie czoła, odgarniając co chwila z lekka już zaniedbane pukle, stawiał na kartkach papieru wyimaginowane słowa i cyfry.

Nagle Roman uniósł wysoko głowę, wlepił we mnie wzrok i spytał tragicznym tonem:

— Słuchaj, kochany! Co oznacza kiełbasa?

— Nieszczęście w rodzinie — odpowiedziałem bez zająknienia.

Drodzy Czytelnicy! Jeśli kiedykolwiek natkniecie się na „Sennik egipski" i przeczytacie tam, że widziana we śnie kiełbasa jest równoznaczna z tragedią familijną, nie miejcie mi tego za złe!

Działo się to w czasie wojny. Kiełbasa była wtedy wielkim rarytasem. Udało nam się ją zdobyć — niestety, okazała się... niestrawna. — — —

Na równie przewlekłą, lecz niegroźną dla środowiska chorobę grafomańską zapadł inny mój ziomek, Gracjan Chamiec, syn miejscowego przemysłowca, literat. Tak przynajmniej głosił napis na jego bilecie wizytowym.

Ale bilet wizytowy — jak wiadomo — nie jest dokumentem ani też legitymacją dla szanującego się pisarza.

Aby położyć kres docinkom i plotkom kawiarnianym na temat swojej twórczości, pan Chamiec wpadł na genialny pomysł. Gdy wypełniał formularz zeznania do wymiaru podatku dochodowego, zamieścił w rubryce „wynagrodzenia różne":

Tytułem honorariów literackich — zł 2.000,—

Tytułem tantiem autorskich — zł 1.870,—

Razem — zł 3.870,—

I — proszę sobie wyobrazić! Wiecznie ostrożny i podejrzliwy Urząd Skarbowy tym razem pozwolił wywieść się w pole! Nie tylko uwierzył podatnikowi, ale podwoił mu nawet wymiar.

Mając w kieszeni dokument urzędowy — nakaz płatniczy z uwidocznieniem zawodu „literat" — pan Gracjan uzyskał we własnym mniemaniu bilet wstępu na Parnas...

HORACY SAFRIN

NOWE BAJKI

CZAPLA — PLOTKARKA

Szeptano o niej wśród ptactwa rzeszy,
że się względami monarchy cieszy.

Chociaż łowczynią ryb była z fachu,
podsłuchiwała wróble na dachu,
dzień cały snuła domysłów wiele:
co oznaczają słowicze trele,
dlaczego pliszka jest dziś wesoła,
jaki szyfr kryje stukot dzięcioła,
co knuje jastrząb, o czym śni sowa,
gdzie kukułeczka jajka swe chowa,
o czym to wrona na drzewie kracze,
o czym puchają nocą puchacze...

Aż uchwaliło na wiecu ptactwo:
„Za lizusostwo i rozrabiactwo
niech nasze grono opuści czapla,
nim tajemnice nasze wypapla!"

Na takie dictum intryg mistrzyni
biegnie w te pędy do lwiej jaskini:
„Nie mogę sobie poradzić z braćmi,
racz nowy etat, o królu, dać mi!"

Słysząc te słowa lew się nasroży:
„Ech, ty fujaro! My z łaski Bożej
konstytucyjnym rządzący krajem,
do rozrabiaczy się nie przyznajem
i oficjalnie gardzimy plotką...
Czy zrozumiałaś, mnie, idiotko?!" –

Dziś czapla, z której zakpiła władza,
sama i smutna wzdłuż stawów chadza,
nie może bowiem wymyślać plotek
na temat niemych karpi i płotek.

KANDYDATURA OSŁA

W państwie zwierząt – jak nieraz na świecie się zdarza –
opróżnił się znienacka fotel dygnitarza.
Dowiedziawszy się o tym, pełen dufnej wiary,
przed obliczem monarchy stanął osioł stary:
„Z biegiem czasu osłabłem, coraz bardziej chudnę,
miałem życie niełatwe i dzieciństwo trudne,
a i wiek mój podeszły to nie Eldorado...
Toteż zwól, bym do śmierci służył tobie radą!"
Na to lew: „Zanim dam ci posadę państwową,
powiedz, ośle, co umiesz?"
„Umiem kiwać głową..."

POLNY SPEKULANT

„Co robisz?" – kret chomika spytał. – „Przedstaw sobie,
teraz u nas przednówek, a więc nic nie robię."
„Czym się trudnisz właściwie?" – „W mej podziemnej norze
przechowuję hurtowo z lat ostatnich zboże."
„I jakie w zgniłym ziarnie pokładasz nadzieje?!"
„Poczekam jeszcze roczek. A może zdrożeje..."

POWÓD DO DUMY

Brytan na widok kota wyniośle zaszczeka:
„Kto wśród zwierząt mi równy? Jam jest druh człowieka!"
„Widzę nawet – rzekł Mruczek – przyczynę twej buty:
jesteś do swego szczęścia łańcuchem przykuty."

FRASZKI

ŚWIEŻO UTLENIONEJ

Że-ć do twarzy włos jasny, to ci każdy powie.
Gdyby ci się tak jeszcze rozjaśniło — w głowie!

DOBRA ŻONA MĘŻOWI KORONA

Twierdzisz, żeś dobrą żoną. Wierzę ci na słowo.
Jesteś swemu mężowi koroną. Cierniową.

„FILANTROPKI"

W służbie bliźniego z miną uprzejmą
chętnie ostatnią koszulę zdejmą.

NA PEWNĄ DEWOTKĘ

Myśl jej, co stale w wysokościach hasa,
nie wie, co dzieje się poniżej pasa.

PRZYGODNEJ

Byłaś jako ten wierszyk, który się pamięta:
forma łatwa, treść błaha, lecz dobra pointa.

TADEUSZ WIEŻAN

GOŁĘBIARZE

NOWELA FILMOWA

Walenie do okiennic przed świtem postawiło cały dom na nogi.

— Wszyscy mężczyźni wychodzić na rynek! — krzyczał Glinke.

— Wszyscy mężczyźni wychodzić na rynek! — ojciec zrobił się biały jak papier. Coś próbował żartować, pocieszać, ale wiedzieli wszyscy, że od pewnego czasu w okolicy odbywają się pacyfikacje i że pewna liczba mężczyzn jest zawsze rozstrzeliwana.

Zaraz za ojcem na rynek pobiegł Stasio. Na środku w zwartym kole stali wszyscy mężczyźni z miasteczka. Otaczali ich żandarmi; przed Stasiem stał akurat Glinke. Na środku rynku przy stoliku siedziało kilku oficerów. Sprawdzali personalia i jednych kierowali na lewo, innych na prawo. Reszta mieszkańców zgromadziła się na chodniku.

Ojciec, w krótkiej kurtce, bardzo postarzał się przez ostatnie pół godziny.

Cisza była tak potworna, że było słychać jak na środku rynku oficer pytał łamaną polszczyzną:

— Jak się nazywacie?

Stasio nie czekał na zakończenie, ruszył do domu, wpadł biegiem do stodoły, odwalił snopek słomy, z klatki wyjął gołębia, schował go pod kurtkę.

Biegiem wrócił na rynek, przepchnął się między ludźmi, stanął tuż za Glinką, który rozparty szeroko na nogach naśladował żandarmów.

Głowa gołębia wyglądała między dwoma guzikami. Po chwili Glinke zauważył chłopca, zwrócił uwagę na weisschwanza — kręcił się niespokojnie. Tu chłopiec i gołąb, a tam ojciec i przerażająca cisza przerywana od czasu do czasu chrapliwym głosem oficera:

— Nächster!

— Co z nim zrobisz? — zapytał groźnie.

— Nie wiem, zmarnuje się, bo nie ma pary — odparł Stasio, a Niemiec odwrócił się tyłem.

Trwało to wszystko do wieczora. Wreszcie trzydziestu mężczyzn załadowano na samochody. Ojciec był trzydziesty pierwszy.

— No, Czerwiński, do domu! — powiedział Glinke tak, jak by on to załatwił.

Stasio trzymał ojca za rękę. Gdy samochody ruszyły, rynkiem wstrząsnął płacz. Stasio ściskał ojca z całej siły. Ruszyli razem w kierunku domu.

— Nie zimo ci? — zapytał ojciec.

— Nie! — odparł Staszek i wypuścił gołębia.

Patrzyli jak leciał nisko nad brukiem i pomiędzy domami, tuż nad płotem skręcił do domu.

— Mądry! — zauważył ojciec.

— Mądry! — zgodził się Stasio.

Babcia przerwała modlitwę, gdy usłyszała kroki gdy drzwi się uchyliły i wszedł ojciec, a za nim Stasio, zerwała się z miejsca. Ojciec witał się z matką i z babką, jakby wrócił z dalekiej podróży.

— No już nie płacz, nie płacz, mówiłem, że zaraz wrócę i wróciłem.

I matka rozpłakała się na dobre. Ojciec siadł za stołem, a Staszek obok niego. Matka, przechodząc, pogładziła ojca po łysinie.

— Co mi ondulację psujesz! — powiedział niby rozgniewany i, chociaż wszyscy znali ten dowcip, dzisiaj rozśmieszył on wszystkich najbardziej. Śmiała się babcia, śmiała się matka, cieszył się Staszek, bo wesoło jest, gdy w domu za stołem siedzi ojciec.

Następnego dnia rano Glinke był przy gołębniku, Stasio podszedł ciężkim krokiem.

— No, ojciec w domu — powiedział Niemiec.

— W domu! — odparł chłopiec i zaczął odpinać guziki.

— Wpuść go pod siatkę! — powiedział Niemiec zanim zauważył ptaka.

Stasio wykonał polecenie.

Obok drogą przechodził Romek.

— Romek, zaczekaj! — wołał Stasio i biegł za kolegą. Romek zatrzymał się.

— Romek, zaczekaj! — powtórzył Stasio. — Pójdziemy razem.

— Idź swoją drogą! — powiedział Romek i ruszył sztywny, jakby połknął kij.

— Ale przecież po dwóch możemy — upierał się Staszek.

— Idź swoją drogą, mówię ci! — krzyknął i odszedł.

— Glinkemu dałem gołębia za ojca — tłumaczył się Staszek, chociaż to nie była zupełnie prawda.

Gdy Stasio wszedł do lasu, zatrzymał go głos zza krzaka.

— Stój! Hasło!

— Wisła! — powiedział Stasio.

— Warszawa! — odparł głos zza krzaka.

Romek, Czesiek i inni chłopcy byli już na miejscu. Nieznajomy mężczyzna w długich butach z cholewami usiadł na pieńku:

— Na ostatniej zbiórce omawialiśmy budowę karabinu, dzisiaj będziemy mówili o budowie pistoletu typu Parabellum.

— Ktoś miał dostarczyć pistolet...

Romek wstał z miejsca, podniósł marynarkę i zza paska wyjął pistolet. Wręczył go instruktorowi, na Staszka nie patrzył. Staszek też był zajęty, bo kręcił patykiem w piasku głęboką dziurę.

Na szosie robił się coraz większy ruch, jechały furmanki, i samochody, coś się zapowiadało, coś wisiało w powietrzu. To coś miało czerwoną gwiazdę na skrzydłach i raz dziennie wylatywało zza stodoły, tuż tuż nad dachem i gołębie przyduszone podmuchem, kurczyły się w sobie i trzymały słomianego poszycia, żeby przypadkiem gdzieś nie pofrunąć.

Czerwińscy mieszkali przy samej szosie, chodnika między domem a jezdnią nie było, tak, że budy samochodów przesuwały się tuż za parapetem. Podniecenie było ogólne, a podniosło się jeszcze bardziej, gdy do mieszkania wpadł Franek Tracz, wyraźnie zdenerwowany. Żona rodziła mu piąte dziecko, była słaba i chciał sprowadzić lekarza, ale na rynek już nikogo nie wpuszczano.

Frankowi spod cyklistówki wystawała rudawo-kędzierzawa czupryna, oczy miał czarne, jak dwa lakierowane guziki. Normalnie Franek był i tak impulsywny, dzisiaj przechodził już samego siebie, biegał po mieszkaniu, szarpał na sobie koszulę, a że był trochę egzaltowany i trochę artysta, wyciągnął więc do wszystkich swoje spracowane dłonie i przemawiał:

— Powiedzcie, co mam robić. Poradźcie! Pomóżcie!

Babka ukradkiem ocierała łzy. Matka piła walerianę. Ojciec był zły i tak spokojny, że ten spokój mógł każdego wyprowadzić z równowagi. A za szybą, w jednakowych odstępach, jakby ktoś przecinał olbrzymią gazetę, przejeżdżały samochody z wojskiem.

Na szczęście przybiegła najstarsza córka z wiadomością, że mama szczęśliwie urodziła. Franek nabrał powietrza w piersi, oczy mu się zaszkliły, przytulił dziewczynkę do siebie, usiadł, zdjął czapkę i poprosił o szklankę herbaty.

— Ale coś wojska najechało — powiedział po chwili, patrząc w okno. — To na nas.

Wyglądało, jakby się zbudził ze snu. Wszyscy krzyknęli na Franka, że nic nie wie.

Na podwórze zajechała pusta furmanka. Staszek z ojcem wyszli z domu.

— Prrr! — powiedział chłop, zeskoczył z wozu i wszedł do domu.

— Dzień dobry! — powitał wszystkich.

— Siadaj, Julek. Z kontyngentem przyjechałeś? — zapytał ojciec.

— Eee, kto by im teraz kontyngent woził, nie widzisz, że uciekają? Po was przyjechałem, gorąco się robi. U mnie musicie przeczekać na wsi, aż to się przewali.

Babcia była pierwsza do podróży.

— Że pan Julian o nas pamiętał — powiedziała zawiązując chustkę.

— Jak jeden o drugim nie będzie pamiętał, to co z tego wyjdzie? — zauważył chłop.

— Już ich koniec blisko, na Ruskich zęby stracili — pan Julek lubił trochę popolitykować.

— Tylko nie wiadomo, co nam to nowe przyniesie — zauważyła babcia.

— Gorzej nie będzie — obruszyła się matka.

Gospodarz bił czapką o kolano.

— Lepiej Zocha będzie, lepiej — powiedział ojciec.

— Dla kogo lepiej, dla ciebie? — upierała się matka.

— Dla wszystkich, dla kraju, a dla mnie nie musi być lepiej.

Takiego ojca Staszek jeszcze nie widział. Chłop bił czapką o kolano.

— No, zbierajmy się.

Staszek nasypał gołębiom ziarna, a gdy wybiegł, fura ze skromnym dobytkiem i babcią znikała za zakrętem.

Na pastwisko zajechał motocykl. Niemcy kazali odpędzić krowy, ułożyli białe płótno w kształcie litery T. Jeden żołnierz został, a motocykl odjechał. Żołnierz czekał na Storcha, który miał wylądować i zabrać generała. Żołnierz znał trochę polski, położył się obok na trawie i zapytał:

— A wy, chłopcy, wolelibyście, żeby zostali Niemcy, czy żeby przyszli bolszewicy?

Syn gospodarza był młodszy od Staszka.

— My nie wiemy.

— Powinniście wiedzieć — upierał się żołnierz. — Niemcy to dla was wróg, a bolszewicy — sojusznik i Słowianie. To kto — wolelibyście, żeby został w Polsce!?

— My nie wiemy — odparł Staszek.

Przyjechali motocykliści, chłopcy pomogli żołnierzowi zwijać płótno.

— Trzy dni generał czekał na samolot, dzisiaj zginął na froncie.

Front to nie zawsze linia czołgów, eskadra samolotów i tyraliera piechoty. Front to czasami jeden wystrzał, wybuch pocisku nad wiśnią i później już opadają owoce głęboko w piach. Staszek chciał jedną wiśnię wygrzebać i poparzył sobie palce.

Pod oborą piwnica przerobiona na schron. Trzech Niemców upycha do stodoły czterdzieści białych ogierów. W oddali kanonada dział. Araby parskają różowymi nozdrzami. Do schronu wchodzą coraz to nowi uciekinierzy. Jakiś tobołek, kilkoro dzieci trzymających się matczynej spódnicy. Piwnica wyglądała solidnie, murowane wejście. Gospodarz nikomu nie odmawia.

Trzech Niemców, obdartych, brudnych, obwieszonych bronią, podchodzi do studni. Ale nie w głowie im mycie. Piją po kolei wodę z wiadra. Nagle, nad podwórzem rozrywa się pocisk, szrapnele miękko padają obok leżących Niemców. Czerwiński wygrzebuje odłamek z piachu i parzy sobie dłoń. Krzyczy i przeklina, macha ręką. Śmieją się Niemcy. Podchodzą bliżej.

— Ruski... — mówi gospodarz, żeby im się przypodobać. I śmieje się do nich.

Niemcy poważnieją. Jeden z nich rusza nogą odłamek i stwierdza:

— Deutsch...

— Iwan daleko, zdześ nie pryjdiot.

— Patrz pan panie, jak szli na Ruskich, to się języka nauczyli. A teraz gadają — zauważył gospodarz.

A na horyzoncie już widać dymy.

Twarze Niemców czarne od kurzu i zmęczenia, oczy błędne.

Czerwiński kiwa głową z uznaniem, że „Iwan nie pryjdiot".

— Ruski kaput... Ja, ja — powtarza do siebie Niemiec, jakby przez sen.

— Krieg finisch, kaniec.

Gospodarz kiwa głową z uznaniem, to z podziwem.

Pociski padają coraz bliżej, ale nikt już ich nie dostrzega. Niemcy stoją jak posągi. Wsparci na Bergmanach. W tym obłędzie chcą trwać do końca.

— Może jajka — proponuje gospodarz. — Już nie wytrzymuje jak patrzą. Kiwają głowami, że tak.

— Matka, jajka — woła do piwnicy.

Twarz mu się rozpromienia, ale Niemcy ani drgnęli. Ojciec Staszka przesadnie trze dłonie, żeby zrobić im przyjemność.

— Iwan daleko — powtarza jeden przez sen. A kanonada wzmaga się.

Niemiec zaczyna drapać się za koszulą, przeszkadza mu granat, wyjął go zza pasa. Już zapomniał, co robił przed chwilą. Wolno odkręca końcówkę.

— Handgranat — mówi gospodarz, żeby coś powiedzieć. Niemiec już wyjął jedwabny sznureczek.

— Deutsche Handgranat — pokazał głową na wnętrze piwnicy i dodał und alles kaput.

Jego koledzy pokiwali głowami. Gospodyni wyniosła jajecznicę. Niemcy wsparli się na żerdzi. Jeden kazał jej zjeść pierwszą łyżkę. Czerwiński ruszył w kierunku stodoły.

— Halt! Wohin!? — przestali jeść i krzyknęli jednocześnie.

— Do ubikacji.

— Ubornaja — tłumaczył się zatrzymany.

Nic nie rozumieli. Pokazał wreszcie, co będzie robił. Niemcy parsknęli śmiechem. Machali ręką, żeby sobie poszedł. Zanosili się od śmiechu. Czerwiński stał niezdecydowany, krzyknęli, żeby sobie poszedł, bo będzie za późno.

A na horyzoncie grzmiały działa.

Czerwiński nie zdążył zamknąć drzwi ustronnego przybytku, a razem z nim do wnętrza wpadł czerwonoarmista z pepeszą, trzymając palec na ustach powtarzał jak katarynka:

— Niebiezpakojteś...

— Niebiezpakojteś...

— Nie walnujteś...

Niemcy kończyli jajecznicę. Czerwiński wracał jak nie na swoich nogach.

— So schnell?

— Bystra wiernulis — próbowali dowcipkować. Ale mężczyzna poszedł prosto do piwnicy.

CDN.

zdarzenia i zwierzenia

CZTERY ROZMOWY O ROZRYWCE

Historia „Estrady Łódzkiej" rozpoczynała się nader skromniutko w roku 1948, a więc równo 30 lat temu. Poprzez meandry lat, reorganizacji, koncepcji — dobrnęła „Estrada" do lat siedemdziesiątych, kiedy to sprawom rozrywki i estrady zaczęto nadawać w naszym kraju wyższą rangę i znaczenie.

Na ćwierćwiecze przedsiębiorstwa — przed pięcioma laty — doliczono się za całe 25 lat — 43 tysiące imprez.

Około roku 1974 ilość imprez zaczyna gwałtownie rosnąć. Dość powiedzieć, że w ciągu ostatnich czterech lat „Estrada Łódzka" notuje dwadzieścia siedem tysięcy imprez, tj. ponad połowę całego 25-letniego dorobku lat ubiegłych. Podobnie — rzecz prosta — sprawa wygląda z liczbą widzów. Już w roku 1974 liczba widzów wzrosła dwukrotnie — od 700 tys. rocznie do półtora miliona. W roku minionym osiągnęła liczbę 2 milionów.

Zostawmy jednak cyfry i wybierzmy się do pałacyku przy ulicy Narutowicza 28. Weźdźmy schodami w górę — otwórzmy ostatnie drzwi w długim korytarzyku.

Jerzy Lefik — ekonomista, zastępca dyrektora „Estrady" do spraw ekonomicznych.

— A konkretnie?

— Konkretnie to zajmuje się także pionem technicznym i administracyjnym.

— Proszę Pana, ma Pan za sobą 20 lat pracy zawodowej. Wiem, że połowę tego czasu przepracował Pan w kulturze, a połowę w przemyśle, budownictwie i spółdzielczości. Gdzie jest łatwiej?

— W kulturze trudniej, ale ciekawiej. Jest to praca bardziej twórcza, wymagająca więcej improwizacji, bardziej sprawdzająca predyspozycje człowieka... Po prostu daje więcej satysfakcji.

— A dlaczego trudniej?

— Bo tu nie można chodzić utartymi ścieżkami, no i tutaj głównym tworzywem jest żywy człowiek, a nie martwa materia... I dlatego też w kulturze jest ciekawiej.

— Jako ekonomista lubi Pan zapewne planowanie. Jak to jest w „Estradzie"?

— Tu niczego nie można planować na rok z góry. Ani nawet na pół roku. Choćby taka drobna sprawa, jak zakupy materiałów. W przedsiębiorstwach przemysłowych tzw. zakupy doraźne wynoszą ok. 10 proc. U nas — 90 proc. kupionych materiałów to właśnie te doraźne, potrzebne — jak to się mówi „na wczoraj".

— A tych „na wczoraj" nie można kupić „przedwczoraj"?

— Niestety, bo o tym, że będą potrzebne „na wczoraj" nie wiadomo nawet dziś rano...

— No to nie zazdroszczę...

Wędrujemy dalej, zbliżając się do epicentrum „Estrady". Schodkami w górę, trzecie drzwi na lewo... Mały pokoik z napisem na drzwiach: „Główny specjalista do spraw marketingu".

Stefan Kwaśniak, w show-bussinesie od roku 1971, początkowo w Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej, jako kierownik działu wydawniczo-reklamowego, od roku 1975 w „Estradzie".

— Czy to prawda, że widz wszystko kupi?

— Nieprawda. I właśnie dział marketingu musi odpowiedzieć na pytanie, jakie jest społeczne zapotrzebowanie na poszczególne formy rozrywki.

— A jakie jest?

— Różne w różnych środowiskach. Studenci preferują monodramy, małe formy teatralne, poezję śpiewaną... W dużych miastach widz lubi duże rewie, kabarety... Tzw. prowincja czyli teren lubi koncerty z udziałem wykonawców znanych z telewizji i radia — nawet jeśli są już niezbyt modni... Udział tzw. nazwiska niejako nobilituje cały koncert. W terenie widz lubi także w programie estradowym elementy cyrkowe — ekwilibrystykę, iluzję...

— Mówimy o „towarze", a co z „opakowaniem"?

— Towar dobrze opakowany jest lepiej sprzedany. Ale mówiąc serio — jest naszym obowiązkiem wobec artysty, aby go dobrze zareklamować, zapewnić mu plakaty, foldery, nalepki, wydania promocyjne płyt... To wszystko robimy, wydaliśmy dziesiątki tego rodzaju materiałów reklamowych, mimo wiadomych trudności poligraficznych...

— Dużo was kosztuje reklama?

— Odpowiem inaczej: na Zachodzie 30 proc. kosztów imprezy przeznacza się właśnie na reklamę...

— A u nas?

— Około 10 procent.

— Dziękuję, nie mam pytań.

I już doszliśmy do epicentrum „Estrady" — sekretariat dyrektora **Andrzeja Jóźwiaka**. Za biurkiem sekretarka **Barbara Łukawska**, od 4 lat prawa ręka Szefa...

— Jaki, Pani zdaniem, powinien być idealny szef?

— Jaki powinien być — nie wiem. Wiem, jaki jest.

— No więc?

— Po prostu — mój szef.

— A dlaczego?

— Ma poczucie humoru i zawsze potrafi się opanować.

— Mógłbym to sprawdzić?

— Niestety, nie. Szef jest w tej chwili na konferencji.

— A jutro?

— Jutro ma naradę, a potem próbę...

I w ten sposób mógłbym skończyć wędrówkę po piętrach łódzkiej „Estrady". Przy okazji dowiedziałem się, jaka jest idealna sekretarka.

Mimo to jednak dostałem się przed oblicze **Andrzeja Jóźwiaka** — szefa „Estrady". Rozmowa była krótka.

— Jaki powinien być szef? Jakimi zasadami powinien się kierować? Czy może Pan podać podstawowe zasady, którymi się Pan kieruje prowadząc przedsiębiorstwo estradowe?

— Naczelne zasady, którymi się zawsze kieruję, to — po pierwsze: unikanie kompromisów, po drugie: dotrzymywanie obietnic, po trzecie: podnoszenie poprzeczki coraz wyżej, po czwarte: sprawiedliwość w ocenie pracowników, po piąte: odzwyczajanie pracowników od szukania alibi, kiedy im się coś nie udało i po szóste: nadstawianie pleców za swoich ludzi, kiedy im się coś nie udało...

— A co Pana najbardziej interesuje i dlaczego?

— To proste! Przyszłość. Ponieważ mam zamiar spędzić w niej resztę życia.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

Myśl do głowy wpadła:
„Mądry, docenia diabła!"

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

BATALION MASKOTEK

Wiele pism z „Przekrojem" na czele zabawia swych czytelników wyszukiwaniem w prasie śmiesznych sformułowań stylistycznych, błędów językowych, a czasami po prostu przypadkowych błędów drukarskich. Wiadomo, że czasem jedna błędna literka nadaje całemu zdaniu sens komiczny, ot na przykład, gdy zamiast słów „obchody tysiąclecia" znajdzie się w gazecie „obchody tysiąclecia".

Nie są natomiast wytykane (chyba dlatego, że nie są śmieszne, nie bawią) błędy — nie wiadomo, czy zawinione przez autora, czy przez składacza w drukarni — dotyczące ortografii słów obcojęzycznych. Jeśli cytuje się żywcem słowa i całe zwroty z obcego języka, nierzadko po to, żeby błysnąć przy tym erudycją i światowym obyciem, to wypada podać te słowa tak, jak tego wymagają zasady danego języka, a nie tak, że wreszcie domyślać się trzeba, po jakiemu to jest.

Jerzy Urbanklewicz zamieścił w nrze 50 „Odgłosów" z 78 r. artykuł o pożytkach, płynących ze znajomości języków obcych, o konieczności uczenia się tychże oraz o niebezpieczeństwach, związanych z popisywaniem się czymś, czego nie zna się w stopniu dostatecznym. W tym samym numerze tychże „Odgłosów" czytamy drugą część nader ciekawego reportażu Konrada Frejdlicha o zawiłych losach polskiego chłopca, Henia Słotwińskiego, rzuconego przez wojnę na wielkie a zmącone do dna fale historii. Pierwsza część tego reportażu nosiła tytuł „Maskote Batallon", co — jak wynika z całego reportażu — miało oznaczać „maskotka batalionu". Słowa „Masskote Batallon" powtrzają się w tekście wiele razy, a przecież zawierają one — te dwa małe słowa — całą kupę błędów naraz.

Przede wszystkim należałoby każde z nich z osobna napisać tak: „Maskotte" i „Batallion". Oba razem nie znaczą w podanym szyku nic, tylko: „maskotka batalion". Gdyby — przy zachowaniu tego samego szyku — wstawić po środku malutkie „n": „Maskottenbataillon" — znaczyłoby to: „batalion maskotek". Jeśli się natomiast chce powiedzieć po niemiecku „maskotka batalionu", to nie da rady inaczej, tylko trzeba albo tak: „Maskotte des Batallions", albo lepiej: „Batallionsmaskotte".

W tym samym reportażu bohater mówi o swoich „niedobrych wspomnieniach", a autor, chcąc to powiedzieć po francusku, pisze: „souvenier maleraux". I znowu w dwóch słowach kilka błędów. Bo nie „souvenier", tylko „souvenir", a jeśli w liczbie mnogiej to „souvenirs", i nie „maleraux" bo takiego słowa wcale w języku francuskim nie ma, tylko „malheureux", co oznacza „nieszczęśliwe". A więc „souvenirs malheureux" — wspomnienia nieszczęśliwe, przy czym wcale nie jestem pewien, czy przymiotnik „nieszczęśliwy" nie ograniczą się we francuszczyźnie wyłącznie do osób. Żeby być tego pewnym trzeba znać język francuski tak jak Jerzy Lisowski, czyli milion razy lepiej niż Ćwiek.

Przepraszam za to szkolarskie wymądrzanie. A dla odmiany — chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na wzmiankę w „Kulturze" z 3 grudnia o tym, że oto sprowadzono do Polski prochy pisarza, Tadeusza Dołęgi Mostowicza, zmarłego za granicą.

W roku 1956, w przedmowie do „Kariery Nikodema Dyzmy", pisał Zbigniew Mitzner: „Tadeusz Dołęga Mostowicz został zmobilizowany do wojska we wrześniu 1939 roku w stopniu kaprala. Osłaniał ze swoim oddziałem ucieczkę sanacyjnych dygnitarzy, Dyzmów i przyjaciół Dyzmy. Sam nie chciał uciec. Poległ".

Na obwolucie okładki „Pamiętnika pani Hanki", wydanego w roku 1971, czytamy, że „pisarz ginie na drogach wrześniowego odwrotu, zabity odłamkiem niemieckiej bomby".

Mała Encyklopedia Powszechna podaje rok zgonu Mostowicza: 1939.

Więc jak to właściwie było? Dołęga Mostowicz był autorem i człowiekiem bardzo ciekawym, jego książki i oparte na nich filmy wciąż żyją wśród nas i cieszą się szerokim rezonansem, a ocena wartości literackich jego dzieł wydaje się zwyżkować. Radzi byśmy wiedzieć, jakie były naprawdę losy tego pisarza. Może żył jeszcze długo po wrześniu, tak jak Henryk Słotwiński, którego rodzina szukała 38 lat, a którego niepoprawny błąd językowy wcielił do dziwacznego „batalionu maskotek"...

ĆWIEK

POMYSŁY Z KASETĄ

propozycje

Bardzo lubię III program Polskiego Radia, a już szczególnie lubię „60 minut na godzinę", lub nadawaną codziennie o godzinie 13 „Powtórkę z rozrywki". Żałuję tylko, że nie mogę tego słuchać tak, jak bym to chciał, bo na ogół o tej porze pracuję. Kiedy więc tylko mogę, włączam sobie radio o godzinie 13 i słucham fragmentów starych audycji rozrywkowych. Rozrywki mamy w zasadzie mało, a już szczególnie dobrej rozrywki. Wiele programów radiowych i telewizyjnych, które noszą miano rozrywkowych mnie nie odpowiada, gdyż po prostu nudzi. Rozumiem jednak, że nie wszystko musi być adresowane tylko do mnie. Są i tacy, którzy bawią się przy „Podwieczorku przy mikrofonie". I bardzo dobrze.

Z radością przyjąłem więc inicjatywę Wydawnictwa Radia i Telewizji, które to wydawnictwo postanowiło dostarczyć miłośnikom audycji rozrywkowych III programu Polskiego Radia teksty szczególnie umiłowanych magazynów rozrywkowych. I tak najpierw ukazała się książka Stefana Friedmanna i Jonasza Kofty pt. „Fachowcy. Dialogi na cztery nogi". Wydawnictwo Radia i Telewizji chwalono już za dobry pomysł. Każdy może sobie bowiem czytać tę książkę tak, jakby to była tylko książka Stefana Friedmanna lub tylko Jonasza Kofty, gdyż teksty każdego z tych autorów zaczynają się od innej strony.

Później na półkach księgarskich znalazło się „60 minut na godzinę". Tak jak i magazyn pod tym samym tytułem, tak i książkę stworzyło kilku autorów, a wyboru tekstów dokonał i do druku przygotował Marcin Wolski. Są to teksty: Marii Czubaszek, Jacka Fedorowicza, Krzysztofa Jaroszyńskiego, Jana Kaczmarka, Andrzeja Waligórskiego, Marcina Wolskiego i Andrzeja Zaorskiego.

Trzecią książką z tej serii są teksty Jacka Janczarskiego, nadawane swego czasu w Ilustrowanym magazynie Autorów, które przed mikrofonem czytali Marta Lipińska i Krzysztof Kowalewski. Książka ta nosi tytuł: „Kocham pana, panie Sułku". Jest ona jednak najmniej starannie wydana przez Wydawnictwo Radia i Telewizji i na najgorszym papierze. Poza tym bez kasety. Dwie poprzednie miały bowiem jako obowiązkowy dodatek kasety z nagraniami. Do książki S. Friedmanna i J. Kofty dodana była kaseta z dyskoteką „Pod Rurą", a do „60 minut na godzinę" kaseta z piosenkami tego magazynu rozrywkowego. Mimo wysokiej ceny i przymusowego dodatku w postaci kasety — pierwsza kosztowała 170 zł, druga 180 — obie poszły jak woda. I można byłoby powiedzieć, że nie ma problemu.

Ale jest. Oto Wydawnictwo Radia i Telewizji zapowiada książkę historyczną, omawiającą kształtowanie się sytuacji politycznej w Europie przed wybuchem drugiej wojny światowej, do której dołączona będzie kaseta z głosami wybitnych polityków tamtego okresu. Sama książka mnie interesuje, — kaseta — nie. Ale, co mam zrobić, skoro muszę kupić i jedno i drugie, albo nic nie dostanę. Mogę oczywiście kasetę komuś sprzedać, kogo ona zainteresuje, ale w zasadzie nie zajmuje się handlem, tylko pisywaniem felietonów. — I jak do tej pory — nie noszę się z zamiarem zmiany zawodu. Więc, co mam robić?

Wyobraźmy sobie inną sytuację. Ktoś namiętnie słucha radia, bo radio rozbudza wyobraźnię w przeciwieństwie do telewizji, gdzie wszystko musi być podane jak na łopacie, ale nie posiada magnetofonu kasetowego. Dowiedziawszy się o pojawieniu się w księgarniach tekstów jego ulubionych audycji pędzi do księgarni i kupuje wymarzoną książkę z dodatkową kasetą, która jest mu zupełnie niepotrzebna. Gdyby chciał skorzystać z kasety, to musi jeszcze dodatkowo kupić do książki i kasety magnetofon kasetowy za 2.800 zł. Jak na dodatek do książki jest to wydatek stanowczo wysoki i bardzo cenny.

Pochwalam inicjatywę Wydawnictwa Radia i Telewizji. Wydawanie tekstów popularnych audycji rozrywkowych jest i potrzebne i pożyteczne. Zostanie po nich trwalszy ślad. Miłośnicy radiowej rozrywki będą mogli sobie czasem sięgnąć po ten, czy inny tekst i poczytać go sobie w wolnej chwili, bo tak trzeba czytać te książki, a nie jak leci, jak się czyta powieści. Ale myślę, że Wydawnictwo Radia i Telewizji zrewiduje swoje stanowisko i będzie bardziej tolerancyjne dla tych, których interesuje tekst, a nie interesuje taśma.

Jestem więc za wydawaniem i taśm z ciekawymi nagraniami i za wydawaniem książek, ale uważam, że kupujący musi mieć prawo wyboru. Być może szybciej pójdą książki, wolniej taśmy lub odwrotnie, ale na to nie ma rady. I tak — podejrzewam — wszystkim nie wystarczy, bo nakłady wcale nie są takie znów wysokie. W stosunku do potrzeb, a nie w stosunku do nakładów innych książek. Gratuluję więc Wydawnictwu Radia i Telewizji udanych pomysłów, ale serdecznie proszę o więcej tolerancji. Magnetofon na szczęście posiadam. A inni?

MARCIN RODAK

sport

KIBIC NADAL MA NADZIEJĘ

Kalendarz sportowy na styczeń 1979 rok przewiduje przede wszystkim imprezy narciarskie, co jest zupełnie naturalne, bo to przecież zima i śniegu nie powinno nigdzie brakować. Czasami jednak brakuje, a w innych miejscowościach, jak na przykład u nas w Łodzi, jest go w nadmiarze. W styczniu będą odbywały się nie tylko imprezy narciarskie, zapowiedziano na przykład Turniej Trzech Torów dla łyżwiarzy. Zakończył się Turniej Czterech Skoczni, w którym zupełnie niespodziewanie Piotr Fijas znalazł się w pierwszej dziesiątce, co jeszcze nie świadczy o tym, że mamy już dobrych skoczków narciarskich. Będzie też rajd Monte Casino, będą zawody bokserskie o Laur Wrocławia, będzie szermierka, zawody biathlonistów, będą grali w Danii o Puchar Bałtyku piłkarze ręczni, we Włoszech odbędą się mistrzostwa świata dla kolarzy w jeździe na przełaj. Dominować jednak będą sporty zimowe, co naszym kibicom nie przysporzy zbyt wielkich emocji, bo jak wiadomo, w tej dziedzinie sportu przeżywamy długotrwały kryzys.

A przez cały ten czas hokeiści będą przygotowywali się do mistrzostw świata, które zostaną rozegrane dopiero w kwietniu 1979 roku. Awansowali nasi hokeiści do grupy „A" i będą chyba chcieli w grupie tej pozostać. W moskiewskim turnieju spotkają się Polacy z hokeistami ZSRR, Szwecji i RFN. W drugiej podgrupie grać będą hokeiści: CSRS, Kanady, USA i Finlandii. Zwycięzcy z tych grup walczyć będą o medale, reszta o pozostanie w grupie „A". Miejmy nadzieję, że intensywne przygotowania do moskiewskiego turnieju przyniosą spodziewane rezultaty i nasi hokeiści pozostaną w grupie „A". Nie będzie to łatwe, bowiem do mistrzostw świata wszystkie zespoły przygotowują się niebywale starannie. Reprezentacja ZSRR wyjeżdża na przykład do USA, gdzie grać będzie z najlepszymi zawodnikami zawodowej ligi tego kraju. Jak poważnie te spotkania traktują hokeiści USA niech świadczy fakt, że zawieszono rozgrywki ligi zawodowej USA na więcej niż tydzień, aby poszczególni zawodnicy mogli dobrze przygotować się do spotkania z hokeistami ZSRR. Jednak na hokejowe emocje trzeba będzie poczekać do marca, wtedy bowiem rozpoczną się rozgrywki grupy „B". Zwycięzcy z tych eliminacji zajmą opuszczone miejsce w grupie „A". Na kogo los wypadnie?

Nim więc zaczniemy się emocjonować niektórymi ze sportów zimowych możemy nadal zajmować się bilansowaniem sportowych osiągnięć ubiegłego roku. Wśród kandydatów zgłaszanych na plebiscyt „Przeglądu Sportowego" bezapelacyjnie przoduje Józef Łuszczek, który też triumfował niedawno w biegu narciarskim. Ale też poczekajmy na oficjalne wyniki tego plebiscytu. Mnie interesuje przede wszystkim, kto z piłkarzy znajdzie się na liście i jakie miejsce zajmie. Jak do tej pory francuski tygodnik piłkarski umieścił na liście najlepszych piłkarzy ubiegłego roku Zbigniewa Bońka.

Jeśli chodzi natomiast o naszą drużynę piłkarską, to „Przegląd Sportowy" uznał, że polscy piłkarze powinni znaleźć się na 6 miejscu w Europie, a zdaniem „Sportu" Polska była trzecią drużyną Europy. Jak z tego widać, nie ma zgody wśród specjalistów. I słusznie. Ale bardziej od tego, jakie miejsce polscy piłkarze zajmowali w minionym roku, powinno nas interesować to, jak przygotują się do trudnej rywalizacji w roku bieżącym.

Jak w ogóle wypadliśmy w roku ubiegłym? Otóż w mistrzostwach świata w 1978 roku nasi sportowcy zdobyli 4 złote medale, 10 srebrnych, 7 brązowych. W mistrzostwach Europy natomiast polscy sportowcy zdobyli 4 złote medale, 7 srebrnych i 16 brązowych. W rezultacie Polska, wśród innych państw biorących udział w mistrzostwach świata, znalazła się na 12 miejscu. Lepsi od nas byli między innymi zawodnicy ZSRR, NRD, Rumunii, Węgier i CSRS. Jeśli chodzi natomiast o udział sportowców w mistrzostwach Europy, to mężczyźni plasowali się na trzecim miejscu po sportowcach NRD i ZSRR, a kobiety na 10 miejscu. Przed Polkami znalazły się między innymi zawodniczki ZSRR, NRD, Rumunii, Węgier i CSRS.

W mistrzostwach Polski zawodniczki województwa łódzkiego miejskiego uplasowały się na 11 miejscu, a zawodnicy na 7 miejscu.

Statystycznie to wszystko nawet ładnie wygląda, ale cieszyć się bardzo nie ma z czego. Miejmy jednak nadzieję, że 1979 rok będzie dla sportu polskiego lepszy, przyniesie zawodnikom a i nam kibicom więcej emocji. Obyśmy mogli cieszyć się nie tylko z zaciętej walki naszych sportowców. Życzmy im przede wszystkim jak najwięcej sukcesów.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 2816 A-2.